POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 13-go listopada 1943r.*** | **Rok V. Nr. 45**

ĆWIERĆ WIEKU TEMU

Nie wśród fanfar wojskowych, defilad na ulicach Warszawy, nie wśród wiwatów i radości mas, cieszących się rocznicą 25-lecia odzyskanej wolności — obchodzi naród polski rocznicę 11 listopada 1918. Obchodzimy ten dzień, tę dziś szczególnie drogą sercu polskiemu rocznicę, w skupieniu ducha na tle rozpaczliwej, wszystkimi siłami i na wszystkich polach prowadzonej przez nas walki o powrót do pełnej i całej Niepodległości. Tej pełnej i całej Niepodległości, która jedna jedyna, jak to nie tylko wczoraj, ale i dziś wszystkim udowadnia, jest najdroższą i najistotniejszą treścią życia każdego Polaka.

Na tle takiej to chwili i takiej sytuacji wskazany jest na 25-lecie 11-go listopada 1918 raczej styl rozpamiętywania, wskazań i wspomnień, aniżeli akord radosnego upojenia, a to mimo tego, że właśnie obchodzimy pamięć jednego z najpiękniejszych dni polskiego triumfu.

Wielka jest bowiem każda chwila w dziejach narodu, gdy wizja marzeń i symbol dążeń staje się realnym faktem bieżącego dnia. Tą zaś wiekową wizją i symbolem czynu dla Polaków był i jest po dziś dzień obraz chwili, gdy żołnierz polski zaciąga własną — żadnym innym, tylko polskim podlegającą rozkazom — wartę na odwachu warszawskim. Dla tej wizji warto żyć i warto dla niej ginąć w boju!

Nosiliśmy w sobie, my ludzie "przedwojennej" Polski, tę wizję w rzeczywistość wcielanego symbolu Niepodległości, poprzez trudy i znoje 150-ciu lat walk niepodległościowych, pamiętni i świadomi, że Polska stała się znowu naprawdę niepodległa dopiero wtenczas, gdy za resurekcji kościuszkowskiej, a w pamiętne dnie warszawskiej insurekcji 17 kwietnia 1794 z powrotem polski żołnierz, wyparłszy i pobiwszy na głowę Moskali Ingelströma, objął straż nad Warszawą. Wrócił ten moment w obrazie zwycięskich żołnierzy Mokronowskiego, zbratanych z ludem Kilińskiego, najpierw za pobytu Murata, a potem Napoleona w Warszawie w listopadzie i grudniu r. 1806. Po krótkiej zaś przerwie na nowo żołnierz polski stanął w Warszawie nogą zwycięzcy po ucieczce Austriaków chyłkiem w nocy z 1-go na 2-go czerwca 1809. Nadeszły potem czasy kondominium żołnierskiego polsko-rosyjskiego, które się oczywiście ani wojskowo ani politycznie utrzymać nie mogło, prowadząc do wybuchu pamiętnej nocy 29 listopada 1830.

Po upadku powstania zaległa długotrwała noc nad tą wizją żołnierza polskiego, zaciągającego wartę na odwachu warszawskim, długa noc, najpierw ciągle tego samego, a potem zmiennego pana, noc, którą rozerwał dopiero triumfalny świt 11 listopada 1918 — dzień rozbrajania Niemców.

Skoro zaś już nadszedł taki czas, by ćwierćwiecze triumfu własnego polskiego czynu poświęcić wspomnieniom i rozpamiętywaniom, to przede wszystkim uświadomijmy sobie, że dzień 11 listopada 1918 w Warszawie był własnym polskim czynem zbrojnym i tylko własnym czynem, niezależnym od zbiegu okoliczności czy daty. Zrodziły się bowiem potem w publicystyce nieporozumienia, czy próby nieporozumień, jakoby polski czyn rozbrajania Niemców w Warszawie w dniu 11 listopada łączył się z faktem, że właśnie równocześnie o godzinie 10-tej w Compiègne dowództwo niemieckie podpisało zawieszenie broni z Ententą, czyli swą kapitulację. Mimo tego dziwnego zbiegu dat nie ma żadnej łączności rzeczowej między tymi dwoma faktami, a to po prostu dlatego, że w dniu 11-go listopada nikt w Warszawie czy w Polsce o podpisaniu zawieszenia broni przez Niemców nie wiedział, jak to najlepiej zresztą, poza świadkami, udowadniają zachowane z tego dnia dzienniki.

Na zewnątrz spokojna atmosfera Warszawy była oczywiście już przed tym pamiętnym dniem podminowana świadomością nadchodzącej klęski Niemiec, wiadomościami o pełnym rozkładzie Austrii, o wyswobodzeniu się "Galicji," o walkach we Lwowie, o utworzeniu rządu lubelskiego, ale ta naładowana elektrycznością atmosfera stała się rewolucyjną dopiero w ciągu dnia 10-go, gdy rozeszła się wiadomość /do chwili przyjazdu skrupulatnie tajona/ o przybyciu do Warszawy z Magdeburga Komendanta Piłsudskiego i płk. Sosnkowskiego. Niemniej jednak ten dzień 10-go, spędzony na obradach i pertraktacjach kierowniczych czynników, miał poza demonstracjami studentów warszawskich przebieg raczej na ogół spokojny. Niemieckie posterunki wojskowe, ten zarówno symbol, jak realny środek władzy okupanta, pełniły jeszcze normalnie swoją służbę, trzymając pod lufą karabinów w ryzach ducha wzburzonego miasta.

Późnym wieczorem, raczej nocą dnia 10-go listopada, delegat niemiecki z Berlina obalił formalnie i bez oporu z ich strony rządy normalnych władz okupacyjnych niemieckich, a władza wykonawcza wojskowa przeszła formalnie i faktycznie w ręce *Soldatenratu* warszawskiego Generałgubernatorstwa, który ustalił się w samej siedzibie władz okupacyjnych. Obowiązywały jednak w tę noc nadal zakazy chodzenia po 10-ej, a Warszawa zasnęła, wyczerpana wrażeniami i wiadomościami, w pełnej nieświadomości, że fakt upadku dotychczasowej władzy już nastąpił.

Przypadek zrządził, że właśnie piszący te słowa, podówczas rotmistrz Legionów, spotkał w noc 10/11 delegację *Soldatenratu*, szukającą kontaktu z Komendantem Piłsudskim. Szczegóły tego spotkania delegatów z Komendantem Piłsudskim i dalsze kroki na tym tle są znane, ale w ten sposób i w ten czas do kół polskich dotarła wieść i świadomość, że dotychczasowa władza niemiecka zaczęła się już rozpadać, a o nowej jeszcze nic w ogóle nie wiedziano. Ta chwila i ten moment, które wstrzymał zamierzony na tę noc wyjazd Komendanta Piłsudskiego z Warszawy, a nie żadne nieznane bliżej Warszawie wypadki na Zachodzie, stały się źródłem inicjatywy wszystkich czynników niepodległościowych ówczesnej Warszawy.

O świcie, a raczej jeszcze po ciemku, dnia 11-go listopada oddziały t.zw. *Wehrmachtu*, czyli Legioniści będacy już w pełni w dyspozycji Rady Regencyjnej, zajęli niemiecki park automobilowy — punkt ważny, bo unieruchamiający niemiecką łączność wzajemną. O świcie zerwały się do czynu oddziały Peowiaków, zjawili się na ulicach w mundurach Dowborczycy. Rewolucja wojska, wojskowych organizacyj i ulicy warszawskiej, jak za przepięknych dni resurekcji kościuszkowskiej, wybuchła z całym rozmachem, inspirowana przez tę od wieków żywioną wizję, by władzę nad stolicą polską objął polski żołnierz, by wartę na odwachu zaciągnął polski oddział piechoty.

Nie jest moim obecnym zadaniem kreślenie biegu ówczesnych wypadków i rozdzielanie stwierdzeń, kto mniejszą, a kto większą rolę odegrał w tym dniu, a to wobec przepięknego faktu naszej przeszłości, związanego właśnie z tym dniem 11-go listopada, że wszyscy spełnili swój obowiązek wobec Ojczyzny.

Oczywiście na czoło wysunęły się siły zorganizowane, a więc t.zw. *Wehrmacht*, pod dowództwem płk. H. Minkiewicza jako komendanta miasta, oraz Polska Organizacja Wojskowa, wchodząca we wszystkie komórki ówczesnego społeczeństwa, a działająca z ogromnym rozmachem, nie tylko w Warszawie, ale wszędzie na prowincji. Osobno piękną kartę organizacyjną i niepodległościową zapisał ruch robotniczy P.P.S.'u Warszawy, który z miejsca wśród tej prawdziwej rewolucji ludowej stał się elementem porządku i przejmowania władzy, oraz fabryk, a nie rewolucyjnego chaosu i politycznych demonstracji.

Po prostu z dzisiejszej perspektywy historycznej z prawdziwą czcią wewnętrzną trzeba podkreślić i przypomnieć fakt, że w ten dzień 11-go listopada, dzień obalania władz przez polską rewolucję wojska i ludu, nie zaszły żadne hańbiące wypadki rabunków, mordów, porachunków osobistych czy partyjnych, a więc tych wszystkich objawów, które stale i wszędzie zwykły towarzyszyć podobnym chwilom historycznym. Dziś śmiało możemy stwierdzić, że w tym dniu 11-go listopada naród polski, wcielony w organizacje wojskowe i społeczeństwo cywilne, wykazał rzadko w dziejach napotykany poziom, czyli t.zw. "morale," która winna być naszą dumą, a zarazem nakazem na przyszłą podobną chwilę. Wykazaliśmy wówczas bowiem nie tylko wyjątkową "morale" ludzką, ale wyjątkową wręcz "morale" polityczną, przejawiającą się w uniknięciu wzajemnych walk o wyrywanie sobie władzy w obliczu nadarzających się okazyj, a to mimo istnienia równocześnie wśród Polaków dwóch rządów* nominalnych, a trzeciego faktycznego.

Dla ilustracji tego waloru 11-go listopada niech mi wolno będzie przypomnieć ten dziś już historyczny i pozbawiony aktualności moment, kiedy to z inicjatywy płk. Sosnkowskiego przywiozłem 11-go listopada w południe dowódcę *Wehrmachtu* płk. Minkiewicza na ul. Moniuszki 2, gdzie w ręku Komendanta Piłsudskiego skupiło się faktycznie kierownictwo całej akcji. Jeśli bowiem wówczas na tle błyskawicznego rozwoju sytuacji wybuchły wewnętrzne polskie tarcia z racji obejmowania władzy nad warszawską milicją porządkową, to tarcia te w jednej chwili zostały usunięte i załatwione drogą dobrej woli wszystkich, gdyż wszystkim przyświecał tylko jeden cel; uwolnienie spod niemieckiej władzy serca Polski — Warszawy — i zgnębienie wroga, który ją dławił tak długo.

A to wszystko, to był piękny, własny, polski czyn! Że tam gdzieś daleko na Zachodzie wstrzymano właśnie ogień i bój czteroletniej wojny, że Niemcy już skapitulowali, o tym wówczas w Warszawie nikt nie wiedział, ani nikt nie myślał. Dusze wszystkich ponosił ten polski pęd radości czynu i woli, by wyswobodzić się własną siłą, własną bronią, i pod własnym kierownictwem. Dlatego też ten dzień przyniósł nam w darze jedną z przepięknych kart naszej historii, koronę 150-ciu lat walki o niepodległość, podczas gdy Niemcy nazwać musieli sami, właśnie ten sam dzień 11-go listopada 1918, "największą hańbą dziejów niemieckich."

Biegnie i biegnąć musi myśl każdego Polaka w dniu dzisiejszej 25-letniej rocznicy ku tej wizji polskiego posterunku wojskowego i ku temu symbolowi, przekutemu w realny czyn podówczas w Warszawie. Biegnie i biegnąć musi myśl polska ku tej wizji, bo gdy ponownie na duszę polską spadła tragedia tej najcięższej w dziejach naszych klęski i tej najokrutniejszej okupacji, to poszliśmy ponownie w obecną walkę zbrojną i na tułaczkę żołnierską czy emigracyjną wciąż z tą samą wizją w duszy. Wizją żołnierza polskiego, który własnym czynem wróci zbrojnie i triumfalnie do Warszawy, by zaciągnąć znowu wartę na warszawskim odwachu, jako jedyny symbol, a zarazem fakt, stwierdzający niezbicie, że Polska jest naprawdę niepodległa.

Nosimy już piąty rok tę wiekową naszą wizję w duszy! Dla tej wizji żołnierza polskiego, prezentującego broń przed sztandarem wnoszonym na odwach, walczymy i walczyć będziemy do końca, dla niej żyjemy i pracujemy.

Jeśli zaś dzisiaj raczej posępni i smutni chylimy głowę w wspomnieniach, wpatrując się w ten przebieg dnia 11-go listopada 1918, to złóżmy sobie nawzajem w braterskim uścisku, ponad wszystkie partie i kierunki, krwią serca wypisane życzenie, aby ten nowy czyn 11-go listopada, dzień urzeczywistnienia wiekowej wizji duszy polskiej, przeszedł tak pięknie, tak podniośle, tak, rządnie i zgodnie, jak w ten czas przed 25-ciu laty.

OLGIERD GÓRKA

DWUDZIESTA PIĄTA ROCZNICA

Dwadzieścia pięć lat temu rok 1918-y wrócił narodom Zachodniej i Południowej Słowiańszczyzny jedność wewnętrzną oraz niepodległość. W końcu października — Czesi i Słowacy, w początku listopada — Polacy, 1 grudnia — Jugosłowianie stali się wolni od obcej przemocy. Ażeby tego wyniku doczekać, trzeba było dożyć powalenia chciwego posoki ludzkiej germańskiego kolosa, legendarnego smoka, szerzącego zło w Europie od tylu wieków.

Swobodę, ten warunek rozkwitu organizmów słowiańskich, odzyskano. Zdawało się, że drzewo wolności, zaszczepione w pamiętnym 1848-ym roku wyzwoleniem ludów, wybujało, wyrosło, pokryło się zdrową zielenią wzdłuż zmężniałych konarów. Każdy ze zmartwychwstałych narodów powracał do swojego prawa, a niektóre wyciągnęły ramiona do pobratymczych, najbliższych sobie szczepów, aby z nimi stworzyć mocniejszą wspólnotę. Tak uczynili Czesi i Słowacy, tak samo uczynili Serbowie, Chorwaci i Słoweńcy. Nam, niestety, nie udało się odbudować w całości trójjedynej Rzeczypospolitej polsko-litewsko-ruskiej, w ciągu tylu wieków zrębu istnienia Europy środkowo-wschodniej i jej przedmurza od barbarzyńskich najazdów. Zaledwie część ojcowej puścizny krain lechickich, chrobackich i mazowieckich z jednej strony, a białoruskich i ukraińskich z drugiej, wróciła do wspólnej macierzy. Powrót ten nie obył się bez długich jeszcze zmagań, a jadowity posiew długiej niewoli nie pozostał bez śladu. Lat potrzeba było, aby, mówiąc słowami Szewczenki, "wozobnowyt' nasz tichyj raj"; lat nam nie starczyło, aby wolność odzyskaną utrwalić.

Komuż to zależało na tym, aby nam, a także innym Słowianom, nie dać okrzepnąć? Kto opłacał irredentę ukraińską, separatyzm słowacki, ustaszów i skrytobójców chorwackich? — Odpowiedź dają zgliszcza naszych wsi i miast, pustka po osiedlach jugosłowiańskich i salwy plutonów egzekucyjnych w czeskim "protektoracie." Nie ma chyba dziś żadnej wątpliwości, jak się zowie ów smok, który czyhał zazdrośnie na chwilę odzyskania odebranego mu łupu.

Ludzie dalekowzroczni chwile te przewidywali i przestrzegali świat przed rosnącym w żelazne łuski potworem. Dostrzegali oni, że choć nie grzmią jeszcze działa, a z niebios nie leci ognisty grad bomb, przecież wróg już cynicznie ogłasza swe zamiary. Im cyniczniejsze były, tym łacniej poczytywano je za wytwór chorego mózgu. Tymczasem były one i są dotychczas krwią nabrzmiałą prawdą.

Kto wgłębił się w te szatańskie zamiary i przejrzał je do cna, widział, że sięgają przez nasze głowy na wschód od naszych granic, że zarzucają na nas po raz któryś sieć, która ma nas ostatecznie zdławić. Powracają do zamysłu rozczłonkowania Polski między sąsiedzkie potęgi, do wykreślenia jej i naszego narodu z karty Europy. Zużytkowano wszystkie możliwości, zawarto najnieprawdopodobniejsze na pozór sojusze. Duch fryderycjański ożył w sierpniu 1939-go roku, rządził po swojemu podczas dzielenia się łupem, i kto wie, w jakim stopniu i gdzie działa dotychczas. Stamtąd wyszedł gwałt, tam przybrał na się kształt traktatu rozgraniczającego i stamtąd judzi dotychczas, choć już niby rażony śmiertelnie.

Po dwudziestu pięciu latach ciężkich doświadczeń, z czego lata ostatnie dziesięćkroć liczyć się winny, stoimy, broczac krwią z ran i, jak nikt na całym świecie, nauczani nienawiści. Niechaj nauka ta nie pójdzie na marne. Pamiętajmy, że każdy posiew germański zły jest, gdziekolwiek padnie i jakkolwiek wschodzi. Gdy powrócimy do wolnego oddechu, my, Słowianie Południa i Zachodu, to — jeśli żyć chcemy — pamiętać zawsze musimy o potwornej lekcji jedności i porozumienia, jaką nam byla dana. Jedność — to spoistość wewnętrzna w obrębie naszych państw, porozumienie — to słowiańskie współdziałanie na zewnątrz. Gdy to osiągniemy, nie obali nas ani odwieczny i nieprzejednany wróg, ani obałamuceni przezeń, czasem nam — niestety — pokrewni szczepowo satelici z różnych okresów tej morderczej wojny.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Szkic sytuacyjny

KIJÓW ZDOBYTY

Zdobycie Kijowa przez wojską sowieckie jest ogromnym sukcesem armii czerwonej. Zwycięstwo to przychodzi w chwili, kiedy Rosją obchodzi 26-tą rocznicę rewolucji. Stalin wygłasza przy tej sposobności mowę, która podkreśla zdobycze konferencji moskiewskiej.

Wojska niemieckie cofają się dalej. *Krym jest odcięty.* Lądowania sowieckie na półwyspie kerczeńskim mnożą się. Nie wiemy, jak silne są garnizony niemieckie na Krymie, ale nie wydaje się, ażeby Niemcy ryzykowali drugi Stalingrad. Obrona Sebastopola nie może być nadmiernie długa. Ewakuacja Krymu została podobno przeprowadzona już dosyć dawno, a siły jakie tam pozostały nie są wielkie. Czy uda się je w razie potrzeby przerzucić do Odessy, jest rzeczą dosyć wątpliwą.

Kijów był bardzo ważnym punktem obrony. Na nim jak na zawiasie wisiał cały front południowy. Zdobycie tego miasta dowodzi, że linia Dniepru pękła. Czy jakaś linia inna, n.p. Bohu jest aktualna, nie wiemy. Okazało się jednak, że linie rzek nie mogą być dzisiaj brane w rachubę jako coś rozstrzygającego.

Należy liczyć się z dalszym odwrotem wojsk niemieckich, które pozbawione zostały wielkiej bazy, przydatnej do zimowania. Ponieważ zaczęły się mrozy, armia niemiecka zacznie już odczuwać niewygody zimy na frontach północy i środka. Front na północy będzie musiał się ruszyć, albowiem trzymanie go pod Leningradem staje się czymś mocno ryzykownym.

Strategii niemieckiej może przyświecać tylko jakaś Bitwa Warszawska albo Jeziora Mazurskie. Powtarzam raz jeszcze ten domysł. Nie wiem gdzie się będzie znajdować ta linia. Czy na bagnach Prypeci, czy na Zbruczu, czy armia niemiecka cofnie się dalej, pod Lwów czy Przemyśl. Są możliwości walk w Polsce jeszcze tej zimy i to na całej szerokości frontu. Kraj nasz tak jak w latach pierwszej wojny stałby się terenem wielkich zapasów dwóch armii.

Jeżeli armia niemiecka postanowiła się cofać dlatego, ażeby uchwycić w potrzask armię sowiecką i skorzystać z wydłużenia się jej linii komunikacyjnych — to nie widać gdzie są granice tego cofania. Jeżeli trzeba będzie, cofnie się ona na Wisłę i na Prusy Wschodnie.

ECHA NARAD W MOSKWIE

Doniesienia pism i deklaracje takie, jak mowa Stalina sprawiają, że jaśniej zarysowuje się przed nami obraz tego, co uzyskano w Moskwie.

Jeżeli chodzi o *sprawy militarne*, to owo "przyśpieszenie zakończenia wojny" może się wyrażać w takich oto posunięciach:

1/ stałe bombardowanie Rzeszy i to w formie jeszcze bardziej skoncentrowanej,

2/ przyśpieszenie otwarcia frontu czy raczej frontów na Zachodzie czy Północy,

3/ uzyskanie baz tureckich dla uderzeń lotniczych a może i jeszcze jakiejś innej formy pomocy ze strony Turcji, która jest niewątpliwie najlepszą bazą, jaką sobie można wymarzyć dla uderzenia na Bałkany,

4/ wzmocnienie ofensywy we Włoszech.

Jeżeli chodzi o punkt 1 i 4, to obserwujemy polepszenie na tym odcinku. Zapowiedzi dane ostatnio przez przywódców lotnictwa sojuszniczego są w tej mierze bardzo pocieszające.

Jeżeli chodzi o punkt 2, to niczego pewnego nie można w tej mierze powiedzieć, ale *pewne oświadczenia amerykańskie dowodziłuby, że jednak można będzie przyśpieszyć termin uderzenia od zachodu.*

Co do punktu 3 to odbywające się obecnie w Kairze narady anglo-tureckie mogą przyczynić się do wyjaśnienia stanowiska Turcji. Może ona oddać swoje bazy na wzór Portugalii /Azory/ albo też wejść do działań po naszej stronie w formie bardziej otwartej.

Przypuszczalne *polityczne* wyniki można by tak oto streścić:

1/ zagadnienia granic na zachodzie Rosji odłożono do rozpoczęcia przez Komisję Europejską jej prac w Londynie. Z tego jednak, co pisze prasa i co powiedział Stalin zapowiadając w swojej mowie "uwolnienie Litwy, Łotwy, Estonii, Mołdawii" wynika, że granica z r. 1941 jest milcząco przyjęta za ważną.

2/ ład powojenny wspierać się będzie na Trzech Mocarstwach. Oznacza to, że ich armie okupować będą Europę — całą Europę. Tym samym rola armii "tubylczych" będzie raczej skromna.

3/ armie okupacyjne będą mogły pozostawać przez nieznany nam czas w różnych krajach, potem przyjdą bazy i garnizony. Jak one się rozleją i jakie kraje zajmą — nie wiemy. Okupacja mieszana ma na celu uniknięcie podzielenia Europy na strefy wpływów.

4/ zasada suwerenności państw przejdzie pewną przemianę. Państwa Europy będą wciśnięte w nowe formy, przy czym głos decydujący będzie miała Wielka Trójka.

5/ Wchodzimy w okres olbrzymiej przemiany myślenia, w okres, który oznaczać będzie pasowanie się nowych schematów i planów z oporem tradycyj, nacjonalizmów, haseł wczoraj. Będzie to walka długa, walka jeszcze bardziej może uparta, aniżeli zmagania wojny. *Proces rozpoczęty przez tę wojnę nie jest zakończony.*

Przewidywania takie nie były zbyt trudne. Widać było od wstępu tej wojny, że idziemy do przewagi wielkich obszarów i do przewagi głosu wielkich mocarstw. *Widać też było, że sprawy gospodarcze i zagadnienia militarne wezmą górę nad hasłami narodowymi*, nad tym wszystkim, co w wojnie poprzedniej znalazło wyraz w hasłach Wilsona, a po tamtej wojnie rozwinęło się w państwach narodowych.

Dla myślących Polaków pojawia się jeszcze większy obowiązek śledzenia tych ruchów, wyciągania wniosków i pracowania tak, ażeby państwo nasze powstało, ażeby mogło się utrzymać, ażeby weszło w skład takich całości, które by mu dawały lepsze warunki istnienia i przeżycia, przetrzymania parcia tych idei, które idą przez świat. *Mobilizacja wszystkich sił myślenia uczciwych i odważnych Polaków jest dzisiaj koniecznością.* Żadna deklamacja nas nie zbawi. Zbawi nas tylko odwaga myślenia, wiara w twórcze siły naszej rasy i w połączenie tych sił z siłami Europy, która wykrystalizuje się jednak w ogniu walki powojennej, prawdopodobnie bardziej zjednoczona niż poprzednio.

WOJNA WE WŁOSZECH

Postępy wojskowe we Włoszech są nieco szybsze, ale nie wiadomo, czy oznacza to już, że w tym miesiącu wkroczymy do Rzymu.

Sytuacja polityczna Włoch staje się coraz bardziej zawiła. Pisma takie jak "*Daily Mail*" w rozbiorze położenia w Włoszech powiadają otwarcie, że naród włoski jest zupełnie sparaliżowany, że nie widać jakichś sił, któreby się budziły. "Liberalizm jest we Włoszech martwy — powiada "*Daily Mail*" — socjalizm oraz komunizm utraciły wiele ze swojego uchwytu." W takich warunkach zagadnienie ożywienia politycznego Włoch nie jest nadmiernie łatwe.

Sytuacja osoby króla staje się krytyczna. Podobno marszałek Badoglio ma za zadanie przekonać króla Wiktora Emanuela, że winien ustąpić. Nalega na to zarówno Sforza, który opowiada się w zasadzie za rządami Badoglia a nawet za tym, ażeby został on regentem, jak i Croce, słynny filozof i liberał włoski. Koła ich utrzymują, że król obecny jest skompromitowany, jakkolwiek można było stwierdzić w czasie postępu armii sojuszniczych, że jednakże popularność domu królewskiego jest duża i osoba króla wydawała się masom włoskim jedyną ostoją.

W tych warunkach mówi się o tym, że król zrzeknie się tronu, ale nie na rzecz Umberta, następcy tronu — który jest podobno także niepopularny — ale na rzecz swojego wnuka. Przebywa on obecnie w Szwajcarii i jest niepełnoletni.

Możliwość regencji Badoglia rośnie. Losy monarchii we Włoszech ważą się, ale sądzić by należało, że sojusznicy nie będą się starali dążyć do obalenia domu sabaudzkiego. Gdyby tak było, powstałaby możliwość dużego rozluźnienia Włoch i może i rozpadu tego kraju.

DE GAULLE PROTESTUJE

Generał de Gaulle wystąpił gwałtownie przeciwko idei Komitetu Europejskiego. Uważa on, że Francja winna być członkiem tego Komitetu.

Ten protest francuski dowodzi, że bynajmniej nie jesteśmy u kresu trudności politycznych urządzenia Europy, ale przeciwnie, u wstępu.

Sytuacja króla greckiego jest niejasna. Osoba jego ma być poddana plebiscytowi ludowemu. Rząd grecki nie jest nadmiernie spoisty a na obszarze Grecji toczą się walki pięciu grup powstańczych.

Rząd jugosłowiański jest również zagrożony. Osoba króla jest tu jednak o wiele silniejsza, aniżeli osoba króla Greków. Sytuacja międzynarodowa Jugosławii pogarsza się. Wewnętrzne walki rosną na sile. Nie wiemy, jak się ułożą stosunki między tajemniczym "*Tito*" /nazwa zbiorowa/ a siłami generała Michajłowicza.

Wszystkie te sprawy dowodzą, jak bardzo zawiły jest obraz sytuacji, jak stale pewne rządy tracą na spoistości, znaczeniu i wpływach, jak wielkie niebezpieczeństwa grożą innym rządom na skutek presji, jaka będzie wykonywana przez wielkie mocarstwa i jak olbrzymi będzie trud uładzenia stosunków w Europie i świecie.

Londyn, 7.XI.1943

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

1 listopada: *Wojska sowieckie odcięły Niemców znajdujących się na Krymie.*

2 listopada: *Z Kraju nadeszły wiadomości o nowych egzekucjach. 2,800 osób wywiezionych zostało do Oświęcimia.*

3 listopada: *Polskie dywizjony myśliwskie wykonały dwie osłony wypraw bombowych oraz akcję wymiatania ponad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela. Po wykonaniu zadań wszyscy piloci polscy powrócili.*

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało Wilhelmshaven z baz w Anglii. Był to najsilniejszy dzienny nalot lotnictwa Sprzymierzonych na Niemcy.

—Następnej nocy z 3/4 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Duesseldorf.

4 listopada: *Brytyjska Ósma Armia zajęła we Włoszech miejscowość Isernia, ważny punkt w nieprzyjacielskich liniach obronnych przed Rzymem.*

—Polski dywizjon myśliwski wykonał dalekosiężny patrol ofensywny. Polski myśliwski dywizjon rozpoznawczy przeprowadził rozpoznanie żeglugi wzdłuż wybrzeży nieprzyjacielskich. Z działań tych wszystkie polskie samoloty powróciły.

5 listopada: *Lotnictwo Polskie obchodziło w Wielkiej Brytanii XXV-lecie swego istnienia. Z okazji tej Naczelny Wódz wydał Rozkaz Nr. 16 do Polskich Sił Zbrojnych.*

—W nocy z 4/5 polski dywizjon bombowy wykonał działania bojowe. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Polskie dywizjony myśliwskie czterokrotnie osłaniały wyprawy bombowe oraz wykonały dwa dalekosiężne patrole ofensywne. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—Piąta Armia amerykańska zajęła miejscowość Venafro, we Włoszech.

—Lotnictwo amerykańskie z baz w Anglii bombardowało silnie Gelsenkirchen.

—Brytyjski minister spraw zagranicznych Antoni Eden odbył rozmowy polityczne z tureckim ministrem spraw zagranicznych Menemenjoglu.

6 listopada: *Ogłoszony został Rozkaz Nr. 17 Naczelnego Wodza, w którym podał on do wiadomości Polskich Sił Zbrojnych, że odtąd na sztandarach wojskowych widnieć będzie napis: "Bóg, Honor i Ojczyzna."*

—Czerwona Armia zdobyła Kijów.

7 listopada: *Radio brytyjskie podało, że Naczelny Wódz, gen. broni Kazimierz Sosnkowski w drodze na Bliski Wschód przybył do Gibraltaru.*

8 listopada: *Podano do wiadomości, że Naczelny Wódz nadał dowódcy O.R.P. "Dzik" srebrny krzyż "Virtuti Militari." W ostatnich trzech miesiącach O.R.P. "Dzik" zatopił 14 statków nieprzyjacielskich o łącznej pojemności 41.000 ton.*

Wojna na morzu

SĄD NAD PORUCZNIKIEM FENN

Pozornie drobny wypadek, ale w piątym roku wojny bardzo charakterystyczny.

Niedawno radio londyńskie ogłosiło o zniszczeniu niemieckiego okrętu podwodnego w Zatoce Biskajskiej. Na podstawie tego reportażu oddano w Niemczech pod sąd dowódcę innego niemieckiego okrętu podwodnego — por. mar. Fenn.

Oskarżenie zawiera zarzut tchórzostwa, opuszczenia stanowiska bojowego i sfałszowania dziennika okrętowego. Fenn po powrocie zameldował, że wśród jego zespołu — okręt dowodzony przez por. mar. Jeschonnek nagle wycofał się i zanurzył w czasie nalotu nieprzyjacielskiego. Wywołało tu wyłom w linii okrętów podwodnych, walczących — zgodnie z instrukcjami adm. Doenitza — z samolotami brytyjskimi. To też okręt por. mar. Fenn musiał również się wycofać.

W istocie — na podstawie sprawozdania, ogłoszonego przez radio londyńskie, stwierdzono, że to Fenn samowolnie opuścił swe stanowisko w zaporze ogniowej, wskutek czego okręty poruczników Jeschonnek i Koppe zostały zatopione, podczas gdy jego własny ocalał. Podobno podwodnicy niemieccy są wściekli, że ich własny sąd morski wierzy więcej Londynowi niż im samym . . .

Jakkolwiek by było — rzecz nie jest pozbawiona "pieprzyku." Świadczy ona, że wbrew wołaniom Himmlera i Doenitza i innych półbogów Walhalli, duch wśród załóg niemieckich, a nawet wśród oficerów, upada — powoli lecz stale. "Rosengarten" stał się labiryntem pełnym groźnych niebezpieczeństw.

NA KANALE LA MANCHE

U zachodniego wylotu Kanału, koło wyspy Ouessant /po angielsku Ushant/ zespół okrętów brytyjskich został we mgle i nocy napadnięty znienacka przez bazowane na wybrzeżu francuskim kontrtorpedowce i ścigacze niemieckie. W rezultacie spotkania zatonęły: krążownik lekki "Charybdis" /5.000 ton/ oraz kontrtorpedowiec brytyjski /1.300 ton/.

Jest to jeden więcej dowód, że nawet na ciasnych, przybrzeżnych wodach strona słabsza ma szanse zwyciężenia silniejszego przeciwnika w pomyślnych okolicznościach. Oczywiście — Marynarka Brytyjska wytrzyma tę stratę, pomści ją, a właściwie już pomściła. Jednak pamiętać należy, że wojna morska, mimo wszelkich postępów techniki i taktyki, posiada swe niezłomne kanony strategiczne, które od Salaminy i Actium bynajmniej się nie zmieniły.

Pamiętać też należy, że kilka tysięcy okrętów i statków brytyjskich i sprzymierzonych jest codziennie w morzu, to też są one znacznie bardziej narażone na straty od okrętów niemieckich, ukrywających się w portach i wychodzących w morze tylko od czasu do czasu.

Natomiast u wschodniego wylotu Kanału La Manche bitwa morska między trzydziestoma ścigaczami nieprzyjaciela a brytyjskimi siłami lekkimi skończyła się zupełną porażką Niemców. Cztery ścigacze zostały zatopione, siedem odniosło poważne uszkodzenia. Brytyjczycy strat — poza kilku marynarzami — nie mieli.

Wojna na Kanale przybiera w ostatnich czasach na sile. Niemcy twierdzą, że dzieje się to wskutek brytyjskich przygotowań do inwazji kontynentu. Nie wiemy czy to prawda. Ale Kanał La Manche, który w roku 1940 ocalił Anglię, może stać się równie dobrze — przyczyną zagłady Niemiec.

Miło jest stwierdzić, że wśród sił lekkich, operujących na tych wodach znajduje się mieszana flotylla polsko-brytyjska, pod dowództwem polskiego oficera.

NA PACYFIKU

Podczas gdy na północnych wodach Oceanu Spokojnego panuje zastój operacyjny, spowodowany zimowymi warunkami atmosferycznymi, na południowych walki trwają nadal z niesłabnącym natężeniem. Ostatnio u brzegów wyspy Bougainville miała miejsce bitwa morska, w której—jak zwykle — obie strony przypisują sobie zwycięstwo.

Japończycy robią co mogą by utrzymać swe zdobycze. Jednak jest już jasne, że smok japoński połknął więcej niż może strawić. Wprawdzie pola naftowe Indonezji są w rękach Nipponu /największy sukces floty Mikada/, ale utrzymanie tak długich linii komunikacyjnych staje się coraz trudniejsze i wyczerpuje sprzęt oraz zasoby.

Tym niemniej Japonia — wobec osłabienia Niemiec — staje się najsilniejszym i kto wie — może najgroźniejszym przeciwnikiem. Strategicznie trudno ją zwyciężyć. Ale strategia jest przecież na usługach polityki. Tedy ostatnie słowo może jeszcze należeć do wielkich mężów stanu.

Gdy nadłamana w Europie "oś," pęknie ostatecznie — polityka Japonii może ulec wydatnym zmianom. Na razie notujemy fakt, że mimo rozpaczliwych próśb Hitlera — nie widać jakichkolwiek poważniejszych usiłowań japońskich zdążających do bezpośredniego odciążenia zagrożonych Niemiec.

Flota japońska jakoś nie kwapi się ku drugiej Cuszymie . . .

COŚ SIĘ PSUJE W PROPAGANDZIE

Coś się znowu psuje w propagandzie niemieckiej. Bo oto dwie sprzeczności:

Komunikat oficjalny *O.K.W. /Oberkommando der Wehrmacht/* podaje, że w październiku Niemcy zatopili 52 statki o pojemności 301.700 ton łącznie, 18 o 100.000 ton pojemności uszkodzili tak poważnie, że należy je uważać za stracone, a dalsze 27 statków i 170.000 ton zostało również uszkodzonych. Nadto jeden krążownik, 11 kontrtorpedowców, 2 eskortowce i 4 ścigacze zostały zatopione, a 5 krążowników, 7 kontrtorpedowców i duża ilość innych jednostek wojennych uszkodzona . . . /?/

Z drugiej strony *D.N.B. /Deutsches Nachrichten Bureau/* podało cyfrę zatopionych statków — 35 o pojemności łącznej 255.700 ton, plus 7 kontrtorpedowców i 1 eskortowiec — w działaniach morskich. Poza tym właśnie 52 statki o 301.700 ton miały być zniszczone tylko przez lotnictwo!!

Jak więc widać różnice są olbrzymie. I dowodzą, że coś się psuje w propagandzie Hitlera. Straty po stronie sprzymierzonych — w tak wielkich operacjach jak obecne — niewątpliwie być muszą. Ale w cyfry *O.K.W.* i *D.N.B.* nie uwierzy dziś nawet żaden inteligentny Niemiec.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Pierwszy Lord Morza, Admirał Floty Sir Andrew Cunningham, udekorował ostatnio 8 oficerów, podoficerów i marynarzy polskich odznaczeniami brytyjskimi. Ogółem Polska Marynarka Wojenna posiada dotychczas:

1 K.C.B., 2 C.B.E., 1 M.B.E., 11 D.S.O., 11 D.S.C., 16 D.S.M. i 5 M. i D.

Odznaczeń polskich: 28 Virtuti Militari, 850 Krzyży Walecznych i 28 Krzyży Zasługi z Mieczami. Ostatnie Virtuti Militari otrzymał Dowódca O.R.P. "Dzik."

Na pamiątkę przybycia do W. Brytanii pierwszych polskich okrętów — kontrtorpedowców "Grom," "Błyskawica" i "Burza" — Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej, wice-admirał Świrski, doręczył Premierowi Churchillowi oraz Pierwszemu Lordowi Admiralicji Alexandrowi, plakiety, wyobrażające spotkanie polskich okrętów z brytyjskimi w dniu 1.IX.1939.

Moment był rzeczywiście historyczny. Te trzy okręty wojenne, do których przybyły jeszcze, po przedarciu się z Bałtyku, "Wilk" i "Orzeł" — stanowiły nie tylko jedyne suwerenne terytorium Polski, ale też jedyną walczącą nieprzerwanie cząstkę Jej Sił Zbrojnych. "Grom" zatonął pod Narvik, "Orzeł" na Morzu Północnym — w zmaganiach z nieprzyjacielem. "Burza," "Błyskawica" i "Wilk" istnieją po dziś dzień, pospołu z nowymi okrętami polskimi noszą dumnie po siedmiu morzach banderę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Trudno opisać zdumienie admirała włoskiego dowodzącego w Brindisi, kiedy pierwszym okrętem sprzymierzonym, który przybył do tego portu, okazał się O.R.P. "Sokół." Jakże w świetle tym wyglądają oświadczenia niemieckie z roku 1939 — że "położono koniec polskim mrzonkom o morzu, niszcząc w zarodku polską flotę wojenną . . ." ?!

Oczywiście, gdyby w r. 1929 Polska Marynarka Wojenna i polskie Lotnictwo posiadały pewien minimalny współczynnik pełnowartości taktycznej — nie potrzebowalibyśmy ustępować z Bałtyku. A i położenie Wojska na lądzie stałoby się przez to znacznie korzystniejsze.

Nie pora jednak biadać. Trzeba tylko wyciągać z wielkich wydarzeń dziejowych logiczne wnioski. Jeśli Niemcy chcieli za wszelką cenę uczynić Bałtyk zamkniętym jeziorem niemieckim, to my chcemy by stał otworem dla wszystkich! Aby tego dokonać, musimy w uwolnionej Polsce stworzyć taką Siłę Zbrojną na morzu, która w oparciu o floty sprzymierzone, gwarantowałaby największy skarb narodu:

WOLNOŚĆ MÓRZ.

JULIAN GINSBERT

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2733 książki

Fourth Fighting Arm

I.

ANGIELSKIE OKREŚLENIA PROPAGANDY

Brytyjczycy często określają propagandę wojenną mianem czwartej walczącej broni względnie czwartej służby obronnej /*fourth fighting arm* lub *fourth defence service*/. Miano "broni" nie jest dla propagandy ani ścisłe, ani schlebiające.

Nie jest ścisłe, bo bronią nauczyliśmy się nazywać te części sił zbrojnych, które starają się zmniejszyć zdolność walki wroga przez wybijanie cielesne, niszczenie sprzętu i zaopatrzenia, słowem przez uszczuplenie materialnych sił przeciwnika. Tymczasem propaganda — jak to już Clausewitz formułował — w swym pochodzie ku zwycięstwu dąży do pognębienia ducha, złamania siły oporu, woli czynu i walki nieprzyjaciela; broń swą propaganda kieruje przeciw niematerialnym, duchowym pierwiastkom natury ludzkiej.

Angielskie określenie propagandy nie jest też schlebiające — mimo, że propaganda jest i zostanie tylko bronią pomocniczą — bo jej wymiar i ocena stoją na płaszczyźnie innych sądów i innym podlegają miarom. Jakkolwiek trudna i niewymierna w cyfrach jest ocena skutków propagandy, niesprawiedliwe byłoby oddawanie często większych zasług broniom, których skutek działania jest tylko bardziej przekonywający czy wręcz bardziej namacalny. Trudny wymiar i odrębny charakter działania nie mogą przesądzać bezwzględnej wartości. Ponieważ jakość względna jest trudna dla oceny, zgódźmy się, że propaganda jest po prostu — bronią odmienną.

NA PRZEŁOMIE DWU WOJEN

Do roku 1914 istniało tylko pojęcie propagandy jako świadomego czynnika w prowadzeniu polityki zagranicznej. Charakter bojowy, z przeznaczeniem ofensywnym lub defensywnym, nadali propagandzie w poprzedniej wojnie głównie Anglicy. Mianowicie na skutek przedłużającej się wojny zaczęli z jej pomocą atakować ośrodki duchowego oporu nieprzyjaciela /*fighting arm*/. Nowy rodzaj broni wojennej okazał się na tyle skutecznym i przybliżającym zwycięstwo, że u końca wojny nadano propagandzie charakter sztuki i nauki, a Lord Northcliff z pomocą dużego już aparatu mógł ustalać zasady, dzielić zadania, przewidywać skutki. Propaganda w jego rękach, jak i w rękach późniejszego Lorda Beaverbrook'a staje się akcją planową, opartą o myśl twórczą i wyprowadzoną z dokładnego rozważenia elementów. Poszczególne operacje propagandowe są częścią pewnej, całkowitej, starannie przygotowanej kampanii.

Już w tym okresie propaganda niby wydłużone ramię artylerii wchodzi na przedpola walk i przygotowuje je dla nadchodzących oddziałów, nie opuszczając ich nawet w czasie trwania akcji. Z tamtych również czasów wiodą swój rodowód niektóre z zasad taktyki, stosowane już z całym powodzeniem oraz użycie środków /uboższych od dzisiejszych o dwa, lecz jakże istotne: radio i film/.

Koniec wojny zastaje propagandę aliantów zorganizowaną, posiadającą własne sztaby i własnych specjalistów, działającą na zasadach decentralizacji. Hitler złożył hołd propagandzie brytyjskiej stwierdzając, że armia niemiecka w ostatniej wojnie myślała i czuła pod dyktando wroga.

Schodząc z pola walki z zakończeniem działań wojennych, propaganda aliancka zostawiła dużo cennego materiału dla dalszych doświadczeń i studiów. Jako instrument siły moralnej, zapewniający prestiż władzy, zapewniający jej władanie duszą społeczeństwa była potrzebna demokracjom tylko na czas wojny i to głównie w odniesieniu do społeczeństw wrogich. Na czas pokoju, w odniesieniu do własnego społeczeństwa, z punktu stała się czymś niepopularnym, niesympatycznym i niepożądanym. Ponieważ zarówno prestiż władzy, jak i obawa społeczeństwa są znamionami despotyzmu i dyktatury, w państwach totalnych propaganda urosła w czasie pokoju do rozmiarów broni zasadniczej, zapewniającej panowanie i zwycięstwo nad własnym społeczeństwem.

NIEMCY ZAWSZE BYLI DOBRYMI UCZNIAMI ANGLIKÓW

Naturalnym następstwem wydarzeń był fakt, że głównie pokonane Niemcy rzuciły się do studiów nad bronią wroga i to zarówno w celu defensywnym, aby ustrzec się przed jej skutkami na przyszłość, jak i ofensywnym, aby tę samą broń użyć w przyszłości do działań zaczepnych.

Zagadnienie odbudowy duchowej stanęło w Niemczech tuż po zakończeniu działań wojennych na pierwszym planie, daleko wyprzedzając w czasie zarówno odbudowę gospodarczą jak i wojskową. Psychologiczne, duchowe dozbrojenie wymagało stosunkowo najdłuższego czasu i Niemcy poświęciły mu wiele uwagi, słusznie wiążąc z nim duże nadzieje.

Psychologia stała się instrumentem w rozwiązywaniu zagadnień polityki, dyplomacji i strategii wojskowej. Na zasadach psychologii doświadczalnej oparto również akcję przeprowadzenia totalnej mobilizacji moralnej. Sztaby pracowników — od Nicolai'a, Ludendorff'a, Bock'a, Simoneit'a, Blau'a, Franke'a, Hanša von Voss, Rosenberga, Hadamowsky'ego do Goebbelsa — oddawały swe usługi w instytutach, laboratoriach i psychologicznych stacjach doświadczalnych.

Konieczność stworzenia na przyszłość bariery wewnętrznej przeciw mitycznemu "*Dolchstoss von hinten*" /ciosowi z tyłu/ i rewolucyjnej, rozsadzającej ducha narodu, działalności wroga — narzuciła dowódcom Wehrmachtu, później O.K.W., obowiązek przepracowania takich tematów natury psychologicznej, jak: problem wodzostwa, wpływ wojny na ducha ludności cywilnej, psychologia rekruta i żołnierza z pierwszej linii, psychologia służb i wojsk na tyłach, życia zbiorowego i organizacyjnego, utrzymanie wiary w zwycięstwo, zwalczanie paniki i defetyzmu i t.p. Stworzony w roku 1937 przy O.K.W. departament psychologiczny rozporządzał potężnym laboratorium i wielu stacjami doświadczalnymi. Tam pracowały sztaby dla prowadzenia kampanii psychologicznej, tam oddawano się studiom dotyczącym innych narodów, tam gorączkowo pracowali dziennikarze i propagandziści i stamtąd wreszcie — na wzór sowiecki — wychodziły do pracy terenowej specjalne kompanie propagandowe.

Równorzędnie lub z niewielkim opóźnieniem prowadzono prace przygotowawcze dla przystosowania walki psychologicznej do celów ofensywnych. Określenie celów tej wojny zawarto w następującej mniej więcej formule: działanie ofensywnej walki psychologicznej i propagandy ma w przyszłości spełnić zadania dywersyjne i przygotowawcze, podobne do zadań artylerii dalekiego zasięgu, działającej na korzyść nadchodzących sił zbrojnych. Udziałem tej walki winno być zwycięstwo odniesione przed oddaniem pierwszego strzału. /Okupacja Nadrenii, Austrii, Czech i Kłajpedy dokonana bez strzału na pewno w lwiej części była zwycięstwem tej właśnie propagandy/.

By podołać takiemu zadaniu propaganda i walka psychologiczna musiały być oparte na gruntownej znajomości przeciwnika. To też wiedza, ugruntowana studiami nad poszczególnymi krajami i narodami, przygotowanie całości kampanii propagandowej były przedmiotem wielkiej troski niemieckich specjalistów propagandowych. Podział odpowiedzialności za poszczególne kraje poszczególnych ludzi i organizacji gwarantował fachowość pracy i rzetelność wysiłku, a przez to ułatwiał konstrukcję całości działania propagandowego.

Dojście Hitlera do władzy spotęgowało nasilenie sprawy dozbrojenia duchowego na wewnątrz i propagandy na zewnątrz. Hitler doceniał znaczenie propagandy, której misterne użycie zapewniło mu bez przesady 50% zwycięstwa w walce o władzę; troskę o nią przekazał w spadku Partii i oną zastosowała ją w skali państwowej; wykładnikiem kierunku na zawsze pozostał sam Führer.

Committee for National Morale w New Yorku wydał w r. 1941 starannie i źródłowo opracowaną książkę p.t. "*German Psychological War*," w której wyczerpująco przedstawił rozwój odbudowy Rzeszy. Książka jest tym memento dla wszystkich, których pamięć zawodzi i którzy ciągle jeszcze żyją w świecie złudzeń. Warto się z nią zaznajomić, bo tchnie z niej duch nie tylko t.zw. "hitlerowskich," ale całych Niemiec.

PROPAGANDA W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Przystępując do działań wojennych w r. 1939 zarówno Anglia, jak Niemcy były przygotowane do prowadzenia walki psychologicznej. Anglia mianowicie korzystała ze swych starych doświadczeń z poprzedniej wojny, Niemcy z gruntownych studiów prowadzonych w ciągu lat 20, głównie zaś z doświadczeń N.S.D.A.P. Na skutek tego przygotowania i znajomości nowego rzemiosła, poszczególne etapy walki psychologicznej i propagandy od początku obecnej wojny nabrało cech regularnych, zaciętych bitew, stosujących własną strategię i taktykę. Z uporem obie walczące strony starają się zapewnić sobie przewagę wpływów i narzucić swą wolę przeciwnikowi.

Wsłuchując się w zniekształcone echa tej walki, dostrzeżemy liczne fragmenty, na podstawie których w przybliżeniu odtworzyć można rolę, elementy i zasady i określić siłę i słabość propagandy. Z ogólnych uwag w sposób dowolny wybieramy te, które narzucają się nam swą wagą, nasileniem i pilnością.

Wojna obecna zdecydowanie pogłębiła treść i znaczenie propagandy, dokonała istotnego jej podziału, wprowadziła ją na pole walki na czas długi i trwały, i pozwoliła jej dokładniej od innych broni wypełnić okres przed walką, w czasie trwania i po walce. Przede wszystkim, aby dotrzymać tempa *blitzkriegowi*, propaganda musiała się niejako samookreślić, dostosować do pełnienia różnorodnych zadań, nagiąć do umiejętnego użycia nowych instrumentów i środków propagandowych.

Najogólniej trzeba stwierdzić fakt określenia się propagandy wojennej w następujących mniej więcej żądaniach, stawianych jej przez wyższą strategię wojenną: 1/ zjednoczyć własne społeczeństwo, natchnąć je wolą jedności i chęcią oporu oraz wskazać mu cele walki; 2/ zwerbować i związać z sobą sojuszników; 3/ rozsadzić morał przeciwnika i 4/ informować neutralnych i nastawiać ich przyjaźnie dla własnych celów wojennych.

Postawa propagandy — jest podobna w odniesieniu do punktów 1, 2 i 4: wykorzystuje mianowicie wiarę własnego społeczeństwa i przyjaciół, informuje i zaleca, używa perswazji i otwartości, czasem przemilcza i nie komentuje. Na użytek wewnętrzny, dla własnego kraju, sprzymierzeńców i krajów neutralnych używa się więc innego aparatu propagandowego, niż dla krajów wrogich lub przez wroga okupowanych. W pierwszym wypadku chodzi tylko o stworzenie zapory wewnętrznej, obronnej i dla tego celu n.p. w Niemczech służy Ministerstwo Propagandy, w Wielkiej Brytanii Ministerstwo Informacji.

PROPAGANDA BOJOWA

W punkcie 3 natomiast zawarte jest określenie propagandy bojowej, dywersyjnej, której postawa, w przeciwieństwie do pierwszej obronnej, jest walcząca i atakująca. Naczelnym jej zadaniem — używając raz jeszcze myśli Hitlera — jest przygotowanie pola walki przez duchowe złamanie nieprzyjaciela jeszcze przed rozpoczęciem jakichkolwiek działań sił zbrojnych. Musi ona odnosić zwycięstwo w okresie poprzedzającym walkę, w czasie jej trwania schodzi do roli broni pomocniczej: nie jest celem sama w sobie, ale środkiem w osiągnięciu celu.

Atakując nieustannie ośrodki woli zbiorowej nieprzyjaciela propaganda dywersyjno-bojowa sieje niepewność i zwątpienie, załamuje wiarę i osłabia chęć czynu; posługując się inspiracją podnieca, burzy i stwarza w obozie przeciwnika atmosferę paniki, strachu i popłochu. H. D. Laswell powiada, że "*. . . psychological war must accompany economic and military war.*" Istotnie propaganda dywersyjna, prowadząc tajemną walkę w dziedzinie ducha, działa w trzech wymiarach: wojskowym, politycznym i gospodarczym. Siła ataku i walcząca postawa są wówczas pełniejsze a przez to skuteczniejsze.

Dla przeprowadzenia tej propagandy Niemcy stworzyli osobny wydział przy O.K.W. pod nazwą "*Wehrmachtspropaganda.*" Organami podległymi tej instytucji są na niższych szczeblach cztery osobne oddziały o różnych przeznaczeniach, mianowicie: 1/ *Propaganda Ersatz Abteilung* w Potsdam w sile czterech kompanii — jako ośrodek wysyłki propagandzistów w teren; 2/ *Propaganda Einsatz Abteilung* w Potsdam /dwie kompanie/ — jako ośrodek łączności i zaopatrzenia w materiał krajów okupowanych i terenów przyfrontowych; 3/ *Propaganda Abteilungen* — oddziały przeznaczone na tereny okupowane; 4/ *Propaganda Kompanie* — oddziały pierwszej linii, idące z wojskiem na front. Oczywiście, że Niemcy, jak każde z państw totalnych, posługują się w przeprowadzaniu zadań propagandy dywersyjnej i innymi organami, nie wyłączając i Ministerstwa Propagandy.

W Wielkiej Brytanii propagandę bojową /*propaganda in battledress*/ oddano kompetencji Ministerstwa Wojny Politycznej /*Britain's Political Warfare Executive*/. Instytucja ta została stworzona zarówno dla celów propagandy bojowo-dywersyjnej, jak i dla rozprzestrzeniania twórczych myśli politycznych, wychodzących z kół alianckich.

Ten podział propagandy wojennej na wewnętrzną /informacyjną/ i zewnętrzną /dywersyjnobojową/ dokonał się ze względów rzeczowych. Podyktowała go rozbudowa celów i zadań propagandowych, jak i potrzeba zajęcia innej postawy i stosowania innych metod w odniesieniu do własnego społeczeństwa, innych zaś metod względem do nieprzyjaciela.

Dalsze nasze uwagi odnosić się będą głównie do propagandy bojowej.

BOLESŁAW ŁASZEWSKI

WIERSZE

MATKA BOSKA ŻOŁNIERSKA

Kiedy przez strome góry czy karpackim borem,
Szedł żołnierz wolę Polski czynić poza Polską,
Szedł długo i wytrwale w noc przetkaną zimnem,
Tylko grzał go obrazek z Matką Częstochowską.

Był na Węgrzech, w Rumunii, doszedł z nim do Francji,
W Norwegii, jeszcze dalej, gdzie się śmierć zaczyna,
Chroni dzisiaj go w Szkocji, i gdziekolwiek indziej,
I nie tylko chroni, lecz kraj przypomina.

Zwyczajny to obrazek, jak tysiące kopij,
Drukowany czernią na zżółkłym papierze,
Jeno, że taką drogą i przez tyle granic
Tuliło się doń serce i garnęło szczerze.

Matka Boska Żołnierska, ufna i tułacza
Dawno wyszła z obrazka, wstąpiła w szeregi,
Teraz z nami na codzień, i grzeje uśmiechem,
Czy wichry nas smagają, czy też palą śniegi.

Już nie jest materialnym obrazkiem, malunkiem,
Jest Sobą, której jednak nie zobaczysz co dnia.
Jak tylko kiedyś smutny, gdy cię rwie tęsknota,
Gdy bezczynność odurza — świeci jak pochodnia.

I wtedy już ją widzisz, czy na samolocie,
Czy na łodzi podwodnej, czy przy cekaemie,
Na czołgu i na dziale, kiedy okiem rzucisz,
A obłoki jutrzni oświetlają ziemie.

I wówczas jesteś pewien, że z twego obrazka
Śród żołnierzy zeszła Matka Częstochowska,
Biją dzwony, gra hejnał — wysoko — Mariacki,
Wokoło się kołysze zbóż łanami Polska.

Matko Boska Żołnierska!
Coś nas prowadziła
Przez drogi niemożliwe indziej do przebycia,
Przez kraje, przez granice zielone i krwawe,
Przez pobojowiska, gdzie szła rzeka śmierci,
Matko Boska Żołnierska!
Nie za naszą sławę,
Za naszą mocną wiarę i za trudy życia
Daj zwycięsko granicę kraju przejść własnego!

mp, Szkocja.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

AKT STRZELISTY

Do sosen rdzawych na spłowiałych miedzach,
do łąk związanych bukietami jaskrów,
do szeleszczących po niebie pacierzy,
i do zachodów, co w dzwonnicach gasną,
do pomarszczonych łuskowaniem głębin,
hełmów strzelistych wiecznym zapatrzeniem,
na których słońce siada i gołębie
odwróć mnie Panie.

I do tych lasów idących milami,
troskami piasków sypkich i upalnych,
do miejskich bruków opiętych domami,
i do strzech wspartych na czerwonych malwach.
Do brzóz łaciatych, co bez drobnej skargi
tulą jak matka ranione kochanie,
do powłóczystych i dostojnych "largo"
odwróć mnie Panie.

Tak jak na tafli szlifowanej stawu
niech się odbiją w duszy mojej chmury,
przebiegające nad niską kurzawą
jak hejnał srebrny, bocianim lazurem.
Do grusz i ostów między kartofliskiem,
do fali zboża, co się morzu kłania,
do mgieł chodzących opuszczonym rżyskiem
odwróć mnie Panie.

Tchnij w usta moje tylko słowa prawe:
"tak i nie" proste, nie skute milczeniem
daj jak te trawy siać serdeczne "ave"
i być jak wieża smukła bez złocenia.
Do ziemi, która płacz wyklęła z mowy,
choć biczowana jest niepierwszym łkaniem,
do rąk jej białych i oczu liliowych
przywróć mnie Panie.

JERZY FACZYŃSKI

W Sandhurst

W pobliżu starej wioski Sandhurst, leżącej w odległości niespełna dwóch godzin od Londynu, w olbrzymim, malowniczym parku—znajduje się, znane na całym świecie, "Royal Military College," założone po klęsce wojsk napoleońskich pod Waterloo. "Royal Military College" było początkowo ośrodkiem szkolenia kawalerii, dziś jednak zgodnie z wymaganiami nowoczesnej wojny zmieniono je na centrum wyszkolenia pancernego dla oficerów. Wieloletnia tradycja szkoły, zdobna w nazwiska wielkich generałów, tej szkoły, którą w swoim czasie ukończył premier Churchill, przemawia do was z każdej sali, z każdego kamienia i każdej z dziesiątków armat, które otaczają główny budynek szkoły.

Gdy stajemy przed wysokimi kolumnami starego pałacu nie sposób jest oprzeć się wrażeniu, że oto nagle przeniesieni zostaliśmy w jakieś bardzo odległe czasy. Cisza i powaga, bijące ze starych sal, olbrzymie lustra, stojące przed pałacem, w których przeglądali się uczniowie szkoły przez kilka dziesiątków lat, lśniące lufy armat z pierwszej połowy osiemnastego wieku—wszystko to czyni nas dziwnie małymi wobec wielkości historii.

To pierwsze wrażenie pryska jednak szybko, bo z dziedzińca i z placów szkolnych zaczynają dochodzić odgłosy dzisiejszych czasów: warkot motorów, zgrzyt gąsienic ciężkich czołgów. Tak, stara jest tradycja szkoły w Sandhurst, ale za to rzeczywistość—zupełnie nowoczesna.

Tę wspaniałą szkołę ukończyło niedawno dziewięciu polskich podchorążych, z których jeden, Ryszard Z., zdobył zaszczytny tytuł prymusa i pas oficerski, wręczony mu osobiście przez generała A.H.S. Adair, D.S.O., M.C., dowódcę dywizji Gwardii Pancernej. Ma to dla nas szczególne znaczenie, bowiem podchorąży Ryszard Z. jest pierwszym cudzoziemcem, który został prymusem Sandhurst . . .

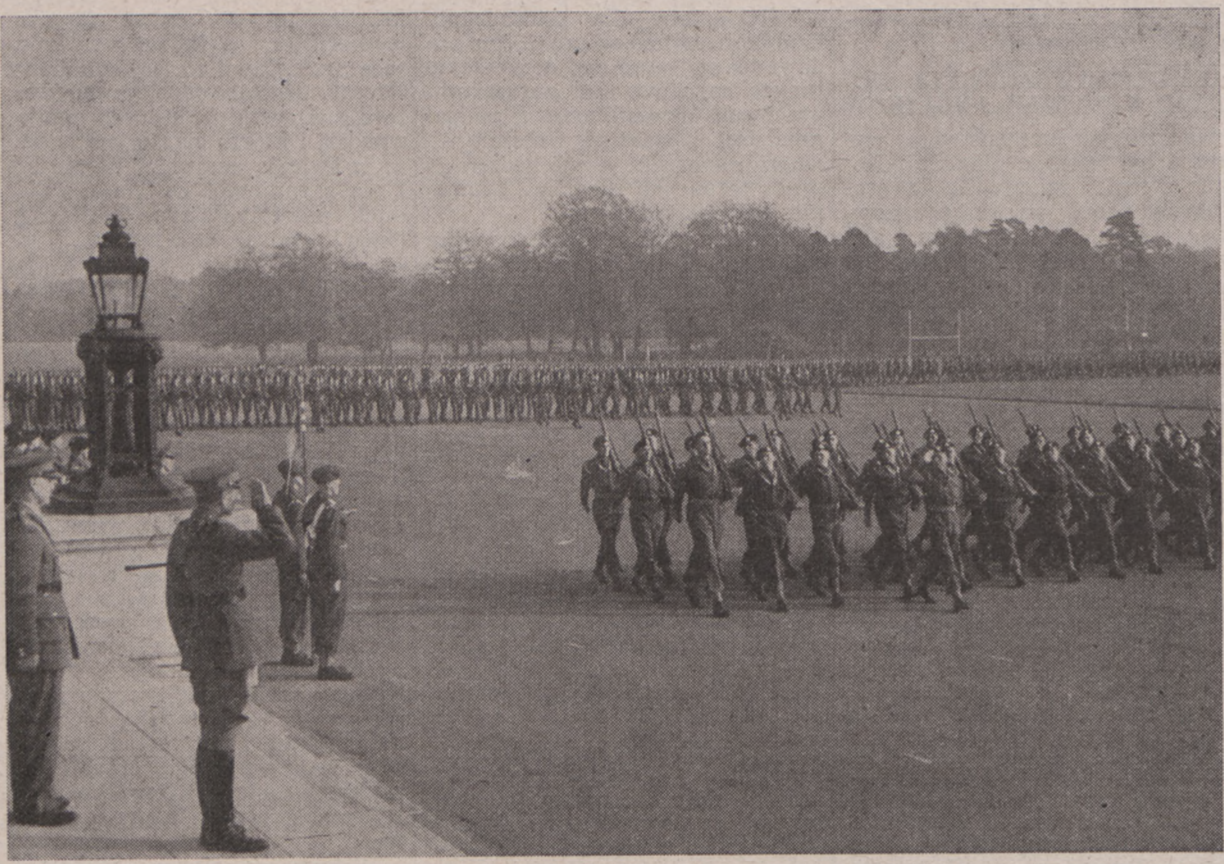
Nie jest to łatwo ukończyć kurs O.C.T.U. /Officers Cadets Training Unit/ w Sandhurst i wyjść zwycięsko ze współzawodnictwa z kilkudziesięciu kolegami, znającymi doskonale język i przyzwyczajonymi do angielskiego systemu nauczania. Polacy jednak dali sobie radę i prawie wszyscy zajęli doskonałe miejsca w ogólnej klasyfikacji.

Pytamy ich o największe trudności, które mieli do przezwyciężenia. Ze zdziwieniem dowiadujemy się, że największą trudnością było wychowanie fizyczne. Każdy z polskich podchorążych był dostatecznie wysportowany, jednakże Anglicy mają w tym zakresie szczególnie duże wymagania i przedmiot wychowania fizycznego jest stawiany na równi z innymi przedmiotami.

Zaciekawieni idziemy przyjrzeć się lekcji wychowania fizycznego. Okazuje się, że wychowanie fizyczne dzieli się na trzy "kursy" — wstępny, dla zaawansowanych i końcowy, szczególnie trudny. Wstępny kurs polega przede wszystkim na wyrabianiu mięśni. Obserwujemy więc wspinanie się po linach na wysokie drzewa, podnoszenie belek, przeciąganie liny, skoki z liną z czteropiętrowej ściany. . . . Zwłaszcza ten skok z liną wygląda trochę niepokojąco i nie wszyscy uczniowie wspinają się na cztero-piętrową ścianę z jednakowym zapałem. . .

A oto kurs drugi dla zaawansowanych. Tu dzieją się rzeczy o wiele trudniejsze. A więc czołganie się pod splątaną linią drutów kolczastych, utrzymywanie równowagi z bańką benzyny na plecach na wysokiej i chwiejnej kładce, przeskakiwanie przeszkód oraz łapanie w pół i obalanie na ziemię nieprzyjaciela, który w tym wypadku imitowany jest przez worek z trocinami, wiszący za przeszkodą z kolczastych krzewów.

Wszystko to jednak nic wobec kursu trzeciego. A więc—wysoka, nieomal prostopadła ściana skalna z małymi występami. Pod ścianą—duża kałuża bagnistej wody. Jak mrówki uwijają się przy tej ścianie żołnierze, wciągając na szczyt bańki z benzyną, karabiny maszynowe, moździerze i inny sprzęt. Każdy nieostrożny ruch grozi upadkiem, co chwila też od ściany odrywa się jakiś niezdara i wpada do wody. Opodal widzimy wysokie kładki, łączące słupy sześciometrowej wysokości. W kilku miejscach wędrują po nich żołnierze i za wszelką cenę starają się utrzymać równowagę przy przeskakiwaniu uszkodzonych miejsc.



Defilada elewów "Royal Military College" w Sandhurst

Wreszcie ćwiczenie chyba najtrudniejsze—"Hades." Wąska rura betonowa, przez którą zaledwie można się przecisnąć. Rura ta wchodzi pod kątem 45 stopni do ziemi i łączy się tam z labiryntem innych rur. Trzeba odszukać właściwe przejście i po blisko godzinnej wędrówce pod ziemią—dotrzeć do wylotu tego labiryntu, czołgając się cały czas na brzuchu, w ciemnościach i przy słabym dopływie powietrza. Tyle o wychowaniu fizycznym.

Przejdźmy jednak do innych rejonów szkoły w Sandhurst, gdzie wykwalifikowani instruktorzy prowadzą wykłady o broni pancernej. Nie sposób tu opisać licznego rodzaju laboratoriów, sal wykładowych i modelarni, w których, w jak najbardziej poglądowy sposób, zapoznają się wychowankowie szkoły z nowoczesnym sprzętem pancernym.



Grupa Polaków z wykładowcą angielskim

Uczeń szkoły w Sandhurst musi znać wszystko od "a do z": od łuski pocisku aż do najbardziej skomplikowanych przyrządów i części mechanizmów czołgu najnowszego typu. Czołgi te — wszelkiego rodzaju i przedziwnych typów — można odnaleźć pod kombinacją siatek i płacht, które z odległości kilkudziesięciu kroków zlewają się całkowicie z terenem. Jeśli jednak chciałby ktoś poznać bliżej tajemnice czołgu, przyrządy celownicze i szybkostrzelne działka—musi przejść do specjalnych budynków, gdzie uczniowie specjalizują się w sztuce celowania i prowadzenia czołgu na pomysłowo skonstruowanych modelach.

Pamiętamy wszyscy napewno "Panoramę Racławicką." W "Royal Military College" w Sandhurst podobnych panoram jest kilkadziesiąt. Po środku każdej panoramy znajduje się wieżyczka czołgu, na tle zaś sztucznego horyzontu, wzgórz, osiedli i lasów — poruszają się czołgi — zabawki. Do tych czołgów wstrzeliwują się uczniowie szkoły, obliczając wprawnie odległości i szybkość. Omyłki prawie nie zdarzają się. Kierunek pocisków i punkt na który te pociski upadły — oznaczają światełka elektryczne. Takimi samymi światełkami oznaczone są pozycje domniemanej artylerii nieprzyjaciela.

Gabinet "czarnej magii" to sala, w której specjalizują się radiotechnicy. Błyski różnokolorowych światełek, różnorodne sygnały, skomplikowana gmatwanina drutów i przełączników—oto warsztat pracy, który przeraża laika. Nie ma jednak nowoczesnej wojny bez szybkiej łączności, którą w tym wypadku gwarantuje jedynie radio. To też załoga czołgu musi znać wszelkie tajemnice, związane z łącznością radiową.

Wiele jeszcze dało by się powiedzieć o tym laboratorium nowoczesnej wiedzy wojennej, jakim jest oficerska szkoła pancerna w Sandhurst. Nie wystarczą jednak na pewno na to ramy krótkiego artykułu i pobieżny rzut oka korespondenta wojskowego.

Jedna jest rzecz, która przy tym wszystkim uderza postronnego widza z Europy lub Ameryki: przedziwne połączenie nowoczesności i tradycji, powiązanie historii z teraźniejszością. Ta tradycja uwidacznia się najdobitniej w uroczystościach związanych z ukończeniem szkoły przez nowy kontyngent wyszkolonych oficerów. "Passing out Parade" odbywa się dziś tak samo, jak odbywała się przed stu laty. Uległy zmianie mundury, uległa zmianie broń. Ten sam jednak pozostał krok paradny, taki sam zachowano ceremoniał.

Kto nie widział tego na własne oczy nie potrafi—być może—zrozumieć, jak wielkie znaczenie ma tradycja w życiu Wielkiej Brytanii. Z tej tradycji jednak żołnierze angielscy czerpią ów "High Spirit," który rozsławił jeszcze raz w historii oręż brytyjski na afrykańskich polach bitew i który rozsławia go dziś we Włoszech.



Generał A. H. S. Adair przypina pas prymusowi

Defilujące bataliony szkolne szły dziś tak samo, jak szły przed laty szeregi przyszłych oficerów Gwardii Królewskiej. Tak jak przed laty, po kamiennych stopniach głównego gmachu, wjechał na koniu do sali rycerskiej komendant szkoły, odprowadzając swoich wychowanków, którzy udali się tam, aby przywdziać mundury oficerskie. Stary gmach szkolny w Sandhurst opuścili nowi oficerowie, młodzi i nowocześni, a jednak—mimo wszystko—wychowani w żelaznych ramach angielskiej dyscypliny i tradycji. Nikt też nie wątpi, że będą oni godnymi spadkobiercami tej tradycji.

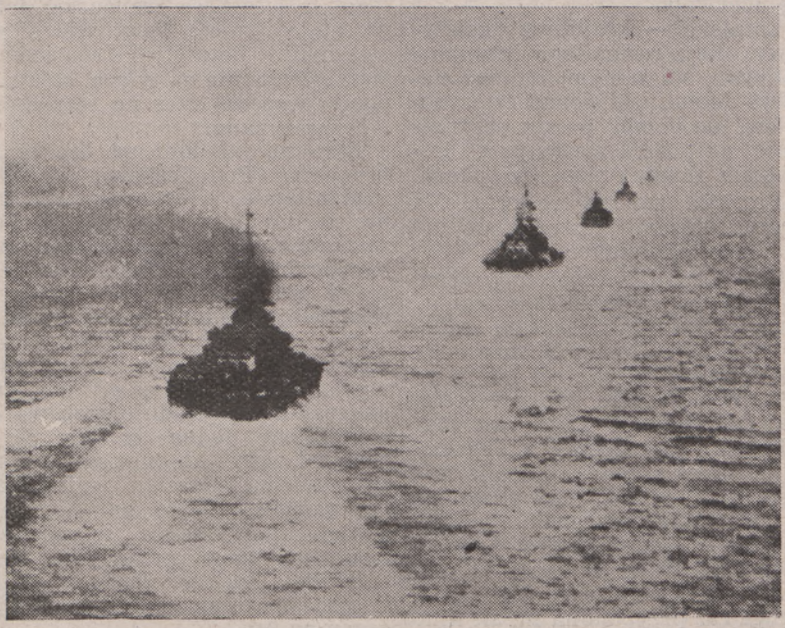
Dlatego cieszyć się nam wypada, że tę wspaniałą szkołę wojenną w Wielkiej Brytanii ukończyło dziewięciu Polaków. Mała to jest liczba, ale ma duże znaczenie dla nas. W historii "Royal Military College" Polacy zapisali się dobrze i utorowali drogę dla tych, którzy przyjdą po nich.

Jest to jeszcze jeden krok naprzód w polsko-brytyjskim braterstwie broni.

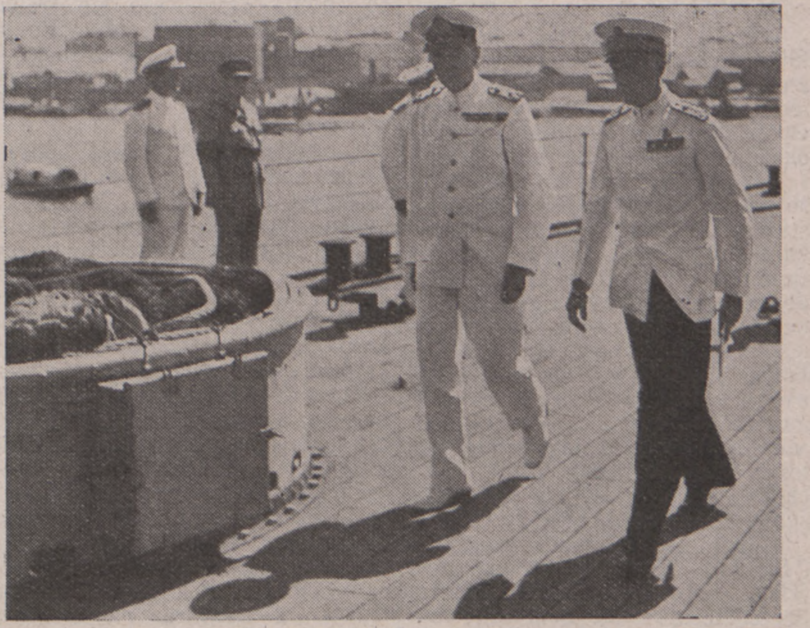
RYSZARD KIERSNOWSKI

Flota włoska w Aleksandrii

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Eskadra włoska przed Aleksandrią



Adm. H. D. Cunningham i adm. Olivia na okręcie brytyjskim

Aleksandria, we wrześniu

Przed paru dniami kairski światek dziennikarski zelektryzowany został niezwykłą, sensacyjną wieścią. Z ust do ust podawano sobie pogłoskę, że flota włoska, o której kapitulacji i przybyciu na Maltę dzienniki zamieszczały ostatnio całe kolumny sprawozdań i opisów, przypłynie jeszcze tego samego dnia, lub najpóźniej nazajutrz—z La Valetty do Aleksandrii. Naglące interwencje dziennikarskiej braci u oficerów brytyjskiej *Public Relations* i w urzędach Marynarki Królewskiej odniosły wreszcie dodatni skutek. Pogłoska odpowiadała prawdzie. Część floty włoskiej przybędzie rzeczywiście jutro do Aleksandrii.

Wszyscy niemal obecni w Kairze korespondenci wojenni, wysłannicy wielkich dzienników tutejszych i zagranicznych oraz wiele innych związanych z prasą osób znalazło się po paru godzinach w przedziałach expressu Kair—Aleksandria. Miejsca w przepełnionych wagonach, brano szturmem. Nie co dzień przecież zdarza się taka gratka, aby można było ujrzeć zwyciężoną flotę przeciwnika, wpływającą pod eskortą do sprzymierzonego portu. . . .

W Aleksandrii wrzało, jak w ulu. To wielkie miasto portowe, posiadające liczną i bardzo wpływową, do niedawna kolonię włoską, miasto, które tak wiele ucierpiało od nalotów włoskiego lotnictwa i które było jawnie i głośno proklamowanym obiektem imperialistycznych zamierzeń Mussoliniego i faszyzmu, przeżywało dzień wielkiej radości i triumfu. O przybyciu floty włoskiej wiedzieli wszyscy już od wczoraj. Tłumy ludzi gromadziły się u nabrzeży portowych i z natężeniem spoglądały w błękitną, zamgloną lekko dal. Ludzie stali godzinami, niezmęczeni i rozradowani.

Ale tajemnica godziny przyjazdu była dobrze zachowana. Gdy do wieczora 15-go września nie pokazał się żaden okręt włoski, najróżniejsze pogłoski zaczęły obiegać miasto. Byli tacy, którzy wiedzieli "z najpewniejszego źródła," iż w ostatniej chwili "zmieniono kierunek eskadry". Inni słyszeli, że okręty zostały napadnięte po drodze przez "Luftwaffe" i zatopione wraz z brytyjskim konwojem, i podawali tę "nowinę" zatroskanym szeptem. Jeszcze inni byli w posiadaniu "murowanej" wiadomości, że flota włoska w ogóle nie opuściła La Valetty.

16-go września o świcie kilka wojennych jednostek morskich wyruszyło na spotkanie eskadry włoskiej. Na jednym ze stawiaczy min znajdowali się: admirał Sir John Cunningham, dowódca brytyjskiej floty Morza Śródziemnego, oraz admirał Alexandris, dowódca floty greckiej. Obecność admirała greckiego przy mającej nastąpić historycznej chwili była wymowną manifestacją wdzięczności i hołdu dla Grecji za jej bohaterstwo, okazane w 1941 roku. Na drugim stawiaczu min znalazła się grupa dziennikarzy, oficerów marynarki i innych osób.

Ognista kula słoneczna wyłaniała się powoli z nieruchomego, sinego morza. Na pokładzie stawiacza min — ożywienie i niekończące się dyskusje. Kilku obecnych studiuje zawzięcie książkę "*Janes Fighting Ship*," zawierającą fotografie i opisy wszystkich większych okrętów wojennych świata. Chodzi o ustalenie tonażu, uzbrojenia i innych właściwości włoskich jednostek, które mają przybyć. Inni dyskutują, czy wszystkie okręty włoskie przybędą do Alekandrii, a jeśli nie, to które. Sypią się żarty i dowcipy.

—"Tak bardzo pragnęli być w Aleksandrii" — mówi jeden z dziennikarzy — "i będą w niej wreszcie. . . . Co nie udało się włoskiej armii lądowej przed rokiem, w okresie przed Al Alameinem, uda się wreszcie dziś flocie . . ."

— "Szkoda tylko" — dodaje drugi — "że nie ma Mussoliniego na którymś z przybywających okrętów. Kupiło by mu się białego konia, oddało by ów sławetny medal złoty, który przezornie kazał wybić w r. 1941, z okazji . . . wkroczenia do Aleksandrii, i oprowadziło by go się w triumfie po ulicach miasta. . . ."

Słońce stoi już wysoko na niebie. Robi się ciepło. Wreszcie któryś z oficerów komunikuje nam, że widzi już okręty. Inni początkowo nie dostrzegają absolutnie nic. Po chwili jednak widzą już wszyscy. Na szarej linii horyzontu znaczą się maleńkie, czarne punkty. Rosną szybko, wydłużają się i kształtują wreszcie w wyraźne sylwetki okrętów wojennych. Niebawem zbliżają się do śpieszących na ich spotkanie jednostek.

Na czele płynie wspaniały krążownik włoski "Eugenio di Savoia," pod flagą dowódcy eskadry, admirała włoskiego Olivia. Za nim — trzy dalsze ciężkie krążowniki: "Raimonde Montecuccoli," "Duca d"Aosta" i "Luigi Cadorna." Z drugiej strony majestatycznie zbliża się olbrzym, duma floty włoskiej, pancernik "Vittorio Veneto." Jego sylwetka jest naprawdę piękna, pełna niezwykłej siły i elegancji. Za nim — drugi pancernik, "Italia" i kontrtorpedowce. Widok jest niezapomniany, wspaniały. . . .

Olbrzymy włoskie zatrzymały się i stoją tuż obok maleńkich brytyjskich stawiaczy min, tak blisko, że bez trudu rozróżnić można twarze marynarzy na ich pokładach. Stoją, uszykowani w dwuszeregi, na baczność. Dowódca pierwszego stawiacza min, kpt. Warren, stoi na swym pomoście i salutuje. Na twarzach obecnych maluje się wzruszenie. Wszyscy zdają sobie sprawę z doniosłości tej chwili.

Na masztach włoskich okrętów wojennych powiewają bandery z krzyżem Savoia. Kontrtorpedowce eskorty brytyjskiej, która towarzyszyła okrętom włoskim w drodze z Malty, krążą nieustannie dokoła stojącej eskadry. Nad głowami warczą motory brytyjskich samolotów ochronnych. Cały zespół okrętów rusza ku Aleksandrii. Po krótkiej podróży widać już wyraźnie kontury portu, rysujące się coraz wyraźniej, w miarę jak eskadra zbliża się ku niemu.

Wreszcie stawiacze min stopują. Admirał Cunningham przesiada się na pokład swego okrętu admiralskiego. Coraz większa ilość motorówek i łodzi otacza okręty. Wszystkie oczy utkwione są we wspaniałe jednostki włoskie, które, ze swymi działami przeciwlotniczymi, skierowanymi ku niebu, kołyszą się lekko u samego wejścia do portu. Jeden z oficerów marynarki brytyjskiej patrząc na pancerniki włoskie, przypomina słowa Nelsona: "Będą one jeszcze piękniejsze, gdy je zdobędziemy." To już się stało. . . .

Na pokładzie brytyjskiego okrętu admiralskiego marynarze stanęli w dwurzędzie. Do burty okrętu przybija motorówka z podwójnym czerwonym krzyżem. Rozlega się dźwięk trąbki. Marynarze zastygają w pozycji na baczność. Admirał włoski Olivia wchodzi na pokład i zbliża się do admirała Cunninghama, który oczekuje go pod jedną z wież działowych okrętu. Dokoła dowódcy floty brytyjskiej — liczne grono oficerów jego sztabu i dowództwa pancernika. Za admirałem Olivia kroczą dwaj oficerowie włoscy w białych kurtkach i błękitnych spodniach.

Admirał włoski zatrzymuje się o trzy kroki od admirała brytyjskiego i salutuje. Admirał Cunningham oddaje ukłon. Obaj dowódcy podają sobie ręce, po czym schodzą do salonu admiralskiego. Rozmowa ich sam na sam trwa ze dwadzieścia minut.

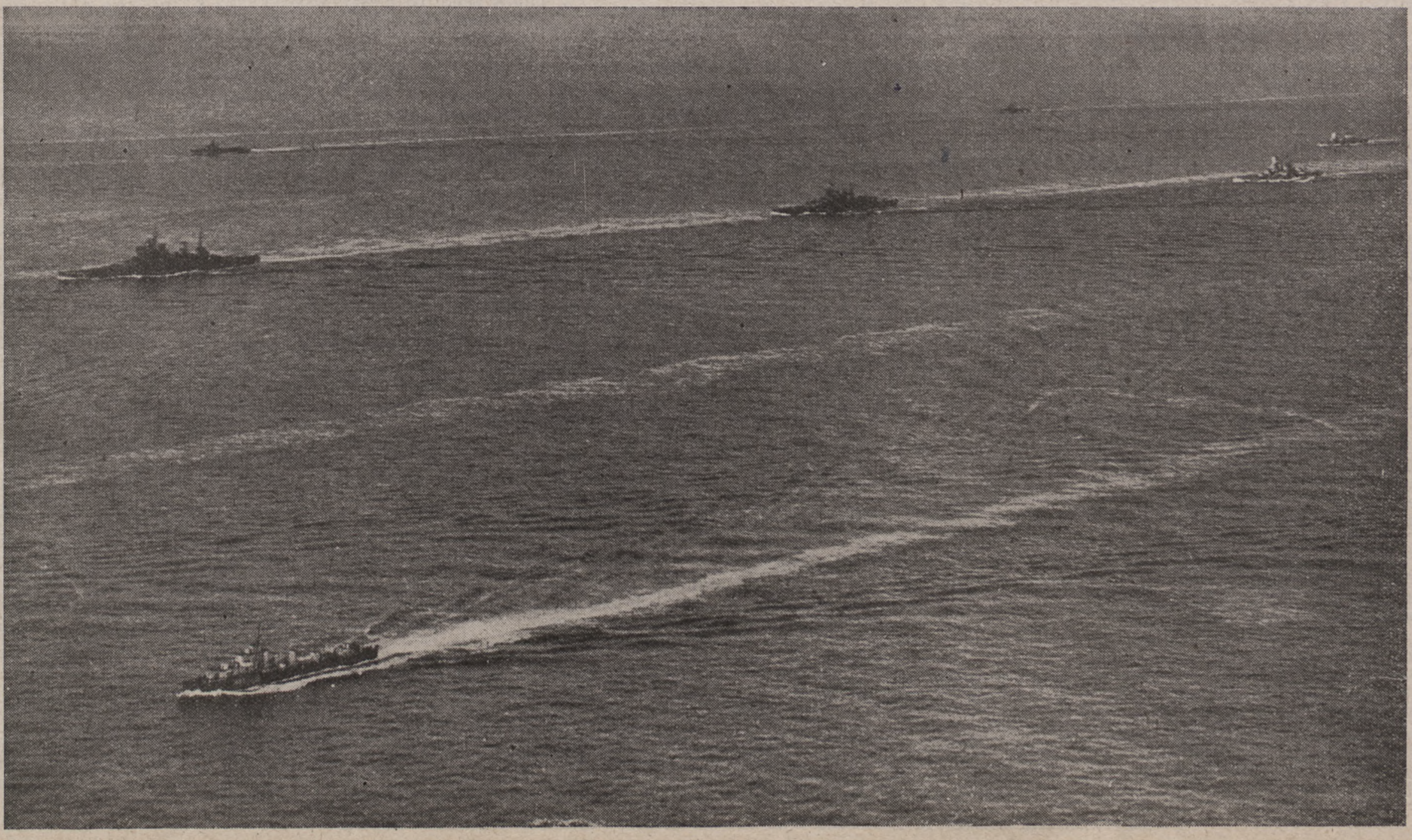
Podczas chwili oczekiwania jeden z oficerów eskorty brytyjskiej opowiada o przebiegu podróży z Malty. Odbyła się ona bez żadnych przygód. Niemcy nie atakowali konwoju ani razu. Żaden z okrętów włoskich nie wyszedł ani na chwilę z linii i nie oddalił się od innych jednostek. W ogóle, postawa oficerów włoskich jest bez zarzutu.

Znowu dźwięk trąbki. Strzelcy morscy prezentują broń. Obaj admirałowie wychodzą z powrotem na pokład. Żegnają się. Salutują, ściskają sobie dłonie. Historyczna ceremonia jest skończona.

Okręty włoskie zajęły w porcie aleksandryjskim te same miejsca, które do niedawna jeszcze zajęte były przez jednostki eskadry francuskiej, stacjonującej tam po kapitulacji Francji, przez blisko dwa lata. Zmieniają się nie tylko czasy, ale i aktorzy dramatu. . . .

ROMAN FAJANS

Okręty włoskie widziane z samolotu w czasie zbliżania się do Aleksandrii



Z pamiętnika pilota myśliwskiego

1940: Persanne Beaumont*

21 *maja*.

Wczoraj wieczorem dołączył klucz Leblanca z Beauvais, który z powodu niegotowości maszyn nie mógł rano wystartować z nami. Opowiada, że o 18-ej przyszło około 60 bombowców niemieckich i tak pokryły lotnisko bombami, że potem ledwie znalazł się pas do startu. Leżał ze swoimi mechanikami w rowie, który wykopał Gomuliński; mówi, że nie chciałby drugi raz przeżyć czegoś podobnego. Miał wrażenie, że wszystko, ziemia i powietrze faluje. Kilka "Moranów" zostało spalonych i jacyś cywile na drodze obok lotniska oberwali. Widział ich, jak biegli kupą i jak bomby położyły się pomiędzy nimi. Nie chodził oglądać, ale nie wyobraża sobie, żeby zostali przy życiu.

Mówię do Gomulińskiego: — "Słuchaj Franiu, to musi być jakaś słynna sześćdziesiątka. Sześćdziesiąt bombardowało Arras, tyleż Amiens i tyleż Beauvais. Uważaj, jak przesuwają się z północy na południe. Najwyraźniej nas szukają. Lada chwila mogą potrącić o nas."

Gomuliński uśmiecha się jak człowiek, którego prowadzą na szubienicę i zgadza się ze mną w stu procentach: —"Najwyraźniej nas szukają — powtarza. — Czuję smród w gaciach. Nie ma co! Zaraz od świtu bierzemy się do kopania rowu. A widzisz! — dodaje — Nasza praca nie poszła na marne. Przynajmniej skorzystali z niej ludzie Leblanca."

To było wczoraj wieczorem po dobrej kolacji. Gomuliński traci humor w oczach, bo nawet nie zalewa robaka większą ilością wina. Powiada, że do picia, jak i do miłości musi być więcej osób, niż jedna. Dawniej gdy był Peteaux, potrafili dawać wspólnie pijackie koncerty. I dziwne! Im więcej pili, tym bardziej stawali się trzeźwi. Peteaux nawet tracił swój capi upór i wygłaszał niekiedy zdania całkiem do rzeczy. Ale Peteaux spalony pod Laonem. Poznali go po obrączce z jego inicjałami na zewnątrz i datą ślubu.

Gomuliński chodzi więc jak struty i mówi, że takiego kompana już nigdy nie znajdzie. Od czasu jego zaginięcia, ma nienadrobione zaległości w piciu i stara się je zmniejszyć, ale to mu niebardzo wychodzi. Teraz wspominając zestrzelonego, odkrywa w nim tysiące takich wartości, że słucham zdumiony. Musiałem być bardzo zaślepiony w swojej niechęci do tamtego. Jednego mu nie mogę odmówić. — "Był dobry żołnierz" mówi Gomuliński. — "Dobry żołnierz" — zgadzam się i dodaję —"Lepszy żołnierz, niż pilot." Potem robi mi się przykro. O nieżyjących tak się nie powinno mówić.—"Dobry żołnierz" — powtarzam.

To było więc wczoraj. Dziś od samego rana zgodnie z zapowiedzią połowa moich ludzi pod dyrekcją Gomulińskiego kopie rowy. Dzień jest ciepły z miękkimi, takimi sobie jak od niechcenia obłokami. Stoi tu dywizjon bombowy "Leo." Duże, dwumotorowe gady. Kilka "Leo" już odleciało, reszta jeszcze czeka nie wiadomo na co i po co. Razem więc z naszymi na lotnisku pełno samolotów. Francuzi z mego dywizjonu, którzy już wiedzą co znaczy skupienie maszyn klną na tamtych z "Leo." Skądś się dowiedzieli, że tamci mają rozkaz odlecieć, jak tylko samoloty będą gotowe, ale oni wcale nie śpieszą się z odlatywaniem, bo stojąc tu długo, zdążyli się zadomowić i mają tu swoje dziewczyny. Robią więc co mogą, by samoloty nie były gotowe. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale wszyscy nasi piloci są cięci na tamtych, jak osy.

Lotnisko było już tydzień temu bombardowane. Dwa hangary spalone doszczętnie i dwa podłupane. Kilka maszyn różnych typów ostro podrąbanych stoi w podniszczeniu bez opieki. Już stąd nie wystartują; pójdą do przeróbki albo na szmelc. Cała wschodnia granica lotniska wyłożona stosami bomb i amunicji. Góry tego. Obok kolej, po której co chwila przelewają się transporty z frontu i na front. "Punkt —jak powiedział Gomuliński — nie ustępuje Wezuwiuszowi z tym, że Wezuwiusz przynajmniej ostrzega."

Do osiemnastej mamy spokój. Siedzę z Zantarą przy baraku dowództwa obok drogi. Na drugim końcu lotniska Gomuliński dokańcza schron.—"Warto by go nastraszyć, że wyjeżdżamy — mówi Zantara — rozpłakałby się, że tyle pracy poszło znowu na marne. Ale swoją drogą przepowiednia pana kapitana nie sprawdziła się." — "Która?" — pytam, bo człowiek na wojnie w chwilach, gdy nie walczy i nie gra w karty, zajmuje się wyłącznie przepowiedniami. — "Ta, że nas dziś podrębią."

Z baraku wychodzi dowódca dywizjonu: — "*Preparez vos bagages.*" Ruszamy stąd. Niemcy są o pięćdziesiąt kilometrów. Patrzymy z Zantarą na siebie i uśmiechamy się milcząco. Żartuj tu bracie w takich okolicznościach!

Zaczynam iść na przestrzał przez lotnisko na jego drugi kraniec, do Gomulińskiego. Piloci z "Leo" zdążają nieśpiesznie do maszyn. Przypuszczam, że posiedzą tu dla formalności godzinę, pokręcą trochę śmigłami i pójdą z powrotem. Ktoś jednak przekonywał, że prawdopodobnie dziś odlecą.

Doszedłszy do połowy lotniska, zacząłem chwytać słuchem wyradzający się z nieba pomruk. Było to właśnie w kierunku, w którym szedłem, a więc północnym. Pomruk przeradzał się szybko w łoskot. Musiało to być duże zgrupowanie.

Za chwilę już mogę dostrzec. Dziewięć bombowców idzie ze wschodu na zachód. Niemcy. Idą równolegle do północnej granicy lotniska w oddaleniu kilku kilometrów. Wyglądało na to, że przejdą bokiem. Właśnie przechodzą. Już są prawie poza lotniskiem. Nagle dostaję gorącego bodźca. Samoloty raptownie skręcają lewym wirażem znowu na wschód i biorą kierunek wprost na lotnisko.

Zaczynam biec. Lotnisko, jak na złość, ma duży spadek z północy na południe. Na grzbiecie mam ciężki, sukienny mundur. Zanim przebiegłem około czterysta metrów do skraju lotniska, byłem prawie bez tchu, mokry i ćmiło mi się czerwono w oczach. Samoloty nadlatują nad głowę. Jest ich nie dziewięć, lecz dwanaście. Padam pod jakiś krzak dzikiej róży, gdy bomby zaczynają gwizdać. Przed tym stwierdzam z radością, że uciekłem z kierunku nalotu.

Zaczęło się. Całe lotnisko w huku i dymie. Przypominam, co mówił Leblanc o falowaniu powietrza. Trwało to kilkadziesiąt sekund. Przelecieli. Wstaję z poczuciem odprężenia. Wtedy dostrzegam coś, co mnie napełnia lodem. Z tego samego, to jest zachodniego kierunku idą dwa . . . trzy . . . cztery zgrupowania. Idą w schodach w lewo. Drugie z lewej ma kierunek wprost na lotnisko, reszta obramowuje. Szyk jest dość szeroki i idą pewnie na pełnym gazie, bo rosną w oczach. Nie sposób wyjść poza obręb ich bombardowania.

Uciekam jak najdalej od lotniska. Stoją jakieś trzy stogi słomy przy polnej drodze. Biegnę w ich stronę. Równocześnie widzę, jak część ludzi Gomulińskiego biegnie również do stogów, a część w przeciwnym kierunku do lasu. Padam pod najbliższym stogiem od wschodniej strony. Gwizdy znowu. Powietrze dostało szału. Gwizdy jeszcze gorsze od wybuchów. Zdaje się, że bomba pada wprost na głowę. Wywaliło raz i drugi zupełnie niedaleko.

Nagle słychać gwizd straszliwszy od innych. Wyczuwam, że to albo we mnie, albo tuż tuż. Ogłuszyło. Jakby mnie ktoś poderwał na parę cali od ziemi i cisnął z piekielną złością z powrotem. Zasypało ziemią. Na głowę zwaliła się sucha gałąź z przykrycia stogu. Ale żyję i nie czuję się ranny. 15 metrów ode mnie duży czarny, ziejący dymem lej.

Z poza stogu wypełza plutonowy Kolasiński. Zalany krwią, oczy w obłędzie. Krzyczy: — "Kochany panie kapitanie, ratuj! Nie mam ręki ani nogi. Ratuj!" Widzę: obie ręce i nogi są niby na miejscu. Biorę to za szok. Ale ta krew!. . . Szukam skąd. I widzę. Cały prawy łokieć zdruzgotany. W jego miejscu jedna krwawa jama, obnażone kości. Nogi nie można obejrzeć pod kombinezonem roboczym, ale krwawi także. Wypełza drugi z poza stogu — kapral Lasek. Ranny także. Odłamek siedzi w udzie.

Zrywam się i chcę biec po sanitarkę, ale oto jeszcze jedna wyprawa. Przytrzymuję Kolasińskiego siłą, bo każdy wybuch bomby wywołuje w nim szał przerażenia. Walczy ze mną, jęczy i chce gdzieś pełzać przed siebie. Czasami uspokaja się, lecz wtedy drży jak w febrze i oczy mu płoną cierpieniem. Znowu gwizdy i wstrząsy powietrza bardzo blisko. Jakby całe niebo pełne gwizdów. Znowu obsypuje ziemia. Tym razem uderzyło trochę dalej. Ranny obłapuje moje ręce. — "Ratuj mnie dowódco, bo ginę. Wody! Na miłość boską dajcie mi choć kroplę wody."

To jest straszniejsze od bomb. Krew ciurkiem biegnie z rozłupanego stawu i nie mam jej czym zatamować. — "Ściskaj mu ją tu powyżej łokcia" — mówię do Laska, który też nie wie, co ma robić ze sobą. Biegnę po pomoc. Całe lotnisko w dymach. Samoloty w płomieniach. Butle z tlenem, amunicja wybuchają co chwila. Piękne, wspaniałe "Lea," które nie wiadomo po co zostały, gorzeją wszystkimi kolorami tęczy. Nad głową walka kilku "Moranów" z "Messerschmittami." Słychać niesamowite wycia silników na pełnym gazie i trzaski seryj.

Doktora trzeba szukać, bo jak się zaszył w jakiś rów, to jeszcze w nim siedzi. Znalazłem, wysyłam. Po godzinie mówi mi, że prawdopodobnie Kolasiński zostanie bez ręki. Lasek nic poważnego. Wyskrobią mu kawałek stali z mięśnia i będzie wszystko w porządku. Poza tymi dwoma nie było więcej ofiar. Mechanicy mówią, że Kolasiński najgorzej ze wszystkich, po prostu panicznie bał się bombardowania, jakby coś przeczuwał.

Dopiero w chwilę po bombardowaniu uświadamiam sobie to ogromne szczęście, że stosy amunicji nie wybuchły. Oglądam wtedy z Gomulińskim i Zantarą efekt bombardowania. Pokazuję im którędy biegłem i właśnie chcę pokazać gdzie leżałem, gdy mnie przyłapało pierwsze zgrupowanie. Lecz krzaczek dzikiej róży już nie istnieje. Na jego miejscu dół głęboki na człowieka. Zaiste bawiło mnie, gdy na sensacyjnych obrazach w kinie most się zapadał albo wylatywał w powietrze tuż po przejeździe samochodu z bohaterem, lub gdy samochód ścigając się z ekspresem przelatywał mu tuż przed nosem przez przejazd. Teraz nie bawi. A ponieważ wyobraźnia nie próżnuje, więc nawet trochę mdłe uczucie siedzi w gębie.

To dziwne jednak, że amunicja nie wyleciała w powietrze. Widziałem jedną z bomb ostrych rozłupaną odłamkiem bomby niemieckiej. Nie wybuchła. Może dlatego, że nie było bliskiej eksplozji a może dlatego, że zapalniki się uchowały.

Lotnisko — krajobraz księżycowy. Leje rozmaitego gatunku i kalibru. Na samym lotnisku naliczył Gomuliński ponad czterysta dołów, ale bomby poszły przynajmniej na pół kilometra przed lotniskiem, za lotniskiem i po bokach.

Przyszła zmiana rozkazu. Na razie zostajemy jeszcze, ale nie wiadomo, jak długo.

Gdy późnym wieczorem wracam do miasta, nowa niespodzianka. Hotel, w którym mieszkam trafiony bombą. Mówią, iż rozwalony tak dokumentnie, że nie ma po co iść. W neseserze, który tam zostawiłem miałem kilka pamiątek z Polski i ten dziennik. Tego mi najbardziej szkoda. Na miejscu, z pierwszego rzutu oka wydaje się, że wszystko przepadło. Kupa gruzów. Jeden piętrowy pokój wisi na dwóch ścianach w powietrzu. Właśnie to jest mój. Drugi raz przypomina mi się kino z walącym się mostem. — "Przyciągasz niemieckie bomby — mówi Gomuliński. — Od dziś nie mieszkam więcej z tobą."

Pokój jest, ale nie ma do niego dostępu. Trzeba dopiero wynaleźć drabinę i przystawić ją do okna. Zbieram ostrożnie, jak złodziej swoje graty i myślę, czy też zjadę z tą resztą muru lada chwila na dół, czy też mur wytrzyma. Wytrzymał.

Właściciel hotelu z żoną też miał szczęście. Właśnie poszli do ogrodu, bo im jakiś kłusowniczy kot podebrał małego królika. — "Był to najładniejszy i najwięcej obiecujący królik — opowiadał gospodarz z przekonaniem. — Naprawdę proszę mi wierzyć, był to królik, za którego dostałbym nagrodę na wystawie. Byłem wściekły na kota. Gdybym go złapał, rozdarłbym go własnymi rękami na dwoje. Proszę mi wierzyć, że byłbym gotów to zrobić. A teraz! — uśmiechnął się ze stoicyzmem i na pół wesoło. — Jestem gotów karmić tego kota przez całe życie królikami, pokażcie mi tylko, który to był."

W restauracji, gdzie dywizjon je kolację szumnie i wesoło. Tak jakby nie było Niemców w kraju, jakby dziś nie stracili pięć samolotów. Zazdroszczę Francuzom tej niefrasobliwości w przechodzeniu nad nieszczęściami do porządku. My Polacy tak nie potrafimy. Jedyna rzecz, która mogłaby zakłócić ten dobry humor to byłby widok załóg z "Leo." Ale tamci mają swoje odrębne chody, być może zresztą wyczuwają antypatię naszego dywizjonu i nie wchodzą nam na oczy. Jemy kolację przy świecach, bo przewody elektryczne pozrywane.

Pytają mnie, jak moje walizki. Mówię, że walizki egzystują, ale hotel nie. To cieszy wszystkich, jak dobry kawał. Cóż dopiero, gdy wyszła na jaw historia z królikiem. Piliśmy zdrowie zarówno nieszczęsnego królika, jak i brawurowego kota.

W końcu jednak przy winie robi się ostra kłótnia. Daje jej początek jakiś "*poilu.*" Jest młody. Oczy mu się palą ogniem żalu i cierpienia. Twarz mogąca być twarzą słynnego amanta nosi na sobie piętno trudów. Odbarwia to ją z płytkości i dodaje patosu. Patrzę z zachwytem w tę twarz tak niecodzienną, tak odrębną od zwyczajnych ludzkich pospolitych twarzy i tak nieludzko piękną.

Przymówił nam ostro. Że się bawimy i wlewamy w siebie wino, a tam na froncie żołnierze pytają się, gdzie jest nasze lotnictwo. Żołnierze na froncie giną pod nieustannym bombardowaniem, któremu nikt nie przeszkadza. On sam brał udział w kilku walkach i nie widział nigdy francuskiego samolotu nad sobą. Myślał wobec tego, że lotnictwo francuskie już przestało istnieć. Teraz widzi, że się mylił. Lotnictwo francuskie siedzi wygodnie na tyłach, zajada, popija i spędza czas na rozpuście z dziewczynami.

Było to, jak lont na beczkę z prochem. Podoficerowie wprost zapienili się. Powiedzieli, że to piątokolumnista i że go trzeba zastrzelić. Rewolwer się znalazł błyskawicznie. Szczęściem oficerowie wdali się w tę sprawę i rozdzielili. Gdyby mu tłumaczono, usiłując przekonać, nie przekonaliby nigdy. Ale mu wygarnięto swoje żale. To, że podczas dziesięciodniowych walk straciliśmy jedną trzecią personelu i wszystkie maszyny. To, że wypuścili nas na wojnę na "Moranach," które ani nie dogonią nieprzyjaciela w powietrzu, ani same przed nim nie uciekną. To, że gnają nas z miejsca na miejsce, że nie mamy czasu na sen.

Widział, że przesolił i wycofał się. Burza się rozwiała, ale wszyscy byli zgaszeni i dobry humor już nie wrócił. — "Służymy po to, żeby ginąć, a nie zwyciężać w tej wojnie — mówi jeden z oficerów. — Zginiemy wszyscy, dobrze. Ale niech nie mówią o nas, że się obijamy." Głos jego drży bliski płaczu.

Nocuję w komfortowym pałacyku u jakichś staruszków, podobnie jak w Beauvais. Sen ciężki, koszmarny. Prześladują ognie, pożary, walki. O drugiej zrywam się, jak poderwany prądem. To artyleria przeciwlotnicza, o której nie wiedziałem, ustawiona na podwórzu o parę kroków od domu, wygarnęła salwę. Staruszkowie gospodarze kusztykają do piwnicy. Pies straszliwie wyje. Gdzieś w górze huczy samolot niemiecki. Po drodze obok domu ciągną transporty uchodźców. Śpij bracie w takich warunkach! Zaczynam odczuwać roztrzęsienie nerwowe. Człowiek żyje w nieustannym napięciu.

22 *maja*.

Rano wraca Lansoy, który walczył wczoraj. Przestrzelili mu chłodzenie, ciecz wyciekła i lądował przymusowo. Teren był paskudny, więc nie wypuszczał podwozia. Wstrząs, jak mówi duży, ale sam nie odniósł żadnych obrażeń. Wrócił również Lechat, jeden z zaginionych w dniu 20 maja. Podczas walki "Messerschmitt" zapalił mu samolot, więc musiał skakać na spadochronie. Po wylądowaniu ludność wzięła go za niemieckiego paraszutystę i odprowadziła pod bronią na policję. Musiał cały czas trzymać ręce do góry.

Niemcy doszli już do morza. Jak widać z operacji dążą do tego, by oddzielić Francję od Anglii. Na froncie jednak czuje się odprężenie. Kilka grup uchodźców wraca na wschód. ofensywa na północ. Pociągi ze sprzętem i wojskami walą na front co dziesięć minut, jeden za drugim po pobliskim torze. Cambrai stało się ośrodkiem walk.

Wieczorem spaceruję z Gomulińskim po miasteczku. Zupełnie wyludnione; wszyscy pouciekali. Koty włóczą się bezdomnie po ulicach i dojadają resztki jedzenia pozostawionego im pod progami pozamykanych drzwi. Dużo zieleni. Ładne ogródki. Kwitną już jaśminy i akacje. Głos kroków biegnie wzdłuż głuchych i pustych ulic i zwielokrotniony echami tłucze się niespokojny, niesamowity.

24 *maja*.

Uchodźcy wciąż ciągną na wschód. Na froncie trochę lepiej. Podobno odparli Niemców od morza. Lataliśmy w dwa klucze, żeby unieszkodliwić odcięty oddziałek niemiecki z kilku czołgów i samochodów pancernych na plaży. Wrażenie takie, jakby się strzelało do makietek za poligonie. W końcu jednak jeden wóz wywalił się do rowu i zapaliwszy się przypomniał, że to nie makietka.

Wieczorem przychodzi uzupełnienie pięciu samolotów. Trzy z nich wykończają od razu. Dwa wpadają w leje po bombach, a w jednym pilot zapomina wypuścić podwozie i ląduje na brzuchu.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

* Por. część pierwszą: "1940: Cambrai" druk. w nr. 42, część drugą: "1940: Beauvais" druk w nr. 43 "Polski Walczącej" z b.r.

Bez blackoutu

Kochani Czytelnicy!

Po raz pierwszy od dwóch lat piszę list do Was. Różne listy pisywałem do Redakcji i do św. Mikołaja, a nawet niektórzy twierdzili, że w swoim czasie te listy żołnierskie do mnie, też sam pisałem. Czego się się jednak nie wybacza psychozie emigracyjnej? Więc nie potrafią zasmucić mnie te wspomnienia, tym bardziej, że jestem dzisiaj w doskonałym humorze.

Przyczyna? Bardzo prosta. Czekałem na ważną wiadomość i nareszcie już wiem. Będzie niepodległa — Austria! Tak jest! Wolna, wesoła, rozśpiewana Austria. Nucę sobie walczyka wiedeńskiego i już się naprzód cieszę "Heurigerem," Grintzingiem, Praterem . . . Tak się biedaczka ta Austria nacierpiała. Byłem przed kilkoma miesiącami na pewnej wystawie w Londynie i sam widziałem różne statystyki: jedna z nich obejmowała ogólną ilość ofiar hitlerowskiego barbarzyństwa nad błękitnym Dunajem: 76. Zaczynam się zastanawiać czy nie wejść w bliższy kontakt z przyszłymi władcami Austrii i porozmawiać na temat Galicji i Lodomerii. Więc jestem wesoły i straussowskiego śpiewam walczyka: "Wiedeńska krew."

A wszystko przez to pilne słuchanie radia. W dodatku eter rozszalał się na dobre. Czy uwierzycie, moi Kochani, że gdyby nie minuta muzyki z płyt już by nie można poznać naszego rodzimego Londynu, tyle przeróżnych stacji mówi po polsku. Rzadziej myśli po polsku. Jest teraz np. nowa stacyjka, która polemizuje po polsku z radiostacją Kościuszki, bierze nas mocno w obronę i uważa, że tylko Rzesza i Polska — to idealna "Oś" i zapewnienie pokoju świata. Stacja nazywa się "Orzeł Biały." Biedny ptak. I biedny ten "naczelnik w sukmanie" bez ceremonii zaanektowany razem z Dąbrowskim, Bemem i Emilią Plater.

Czego się nie słyszy w tym zmąconym eterze! Niedawno, Niemcy popisywali się ze stacji Zessen nową obelżywą nazwą: Fabryka Kłamstw "C h u r c h e v e l t." A może to raczej "Churchevelt" — fabryka bomb, które co noc wyją nad Rzeszą: "Deutschland erwache!"

Jasnym dźwiękiem odbija się od tego wszystkiego głos polskiej stacji podziemnej "Świt." Szczególnie ciekawe były fragmenty audycji z dnia 11 października: "Jeżeli na ulicy w Warszawie kogoś ścigają, przechodnie robią natychmiast wielki tłok, broniąc ściganego. Każdy mimo woli widzi w ściganym żołnierza Polski Podziemnej, którego należy obronić przed wrogiem. Warszawa to miasto nieubłaganej, nieustannej walki. Na tle tej walki tym silniej odbijają się przedstawiciele t.zw. "złotej młodzieży" zamożni, pozbawieni kłopotów naszej codzienności, niedojrzali osobnicy, których nie stać nawet na zrezygnowanie z drobnych rozrywek, jak kawiarnia i kino w chwili, kiedy organizacje młodzieży patriotycznej potrzebują środków" . . .

"Złota młodzieży" emigracyjna i wy dojrzali osobnicy, którzy nie tyle grosze, ile funty trwonicie, zastanówcie się nad tymi wiele mówiącymi słowami "Świtu," który protestuje przeciw lekkomyślności i niepatriotycznemu zmaterializowaniu. Skoro o materialną już potrąciłem nutę, pozwólcie, Kochani Czytelnicy, że poświęcę słów kilka "paczkom od serca." Akcja ta mająca na celu zapewnienie normalnego otrzymywania paczek przez jeńców polskich w niewoli niemieckiej, akcja idąca w sukurs działalności polskich instytucji społecznych, dojrzała pod wrażeniem artykułu Jacka Lisa p.t. "Protestuję." Dziś wiem, że ten Jacek to Aleksander, a ten "Lis" to Janta.

Znając jego perypetie jenieckie, tym serdeczniej apel mój podtrzymuję. Spodziewaliśmy się jednak znacznie więcej, nie po Jacku-Jancie, ale po Was, Drodzy Czytelnicy. Z trzech numerów "Polski Walczącej" /36, 37, 38/ zbiórka dała wynik w postaci 163 paczek papierosów po 500 sztuk każda; z tego 151 paczek dla szeregowych, 12 dla oficerów. Te paczki od serca zawierały wyłącznie papierosy, ponieważ papieros w obozie jeńców wojennych w Niemczech jest monetą obiegową i ponieważ nie ma ograniczeń ilości papierosów wysyłanych dla jeńca.

Pomyślcie! Zbiórka z trzech numerów dała 163 paczki /£75 sh.15 d.9/. Do jakich rezultatów doskonałych moglibyście Koledzy dojść, gdybyśmy wszyscy naprawdę szczerze poparli tę akcję. Tymczasem nadsyłanie ofiar na "paczki od serca" słabnie. Myślę, że nie od rzeczy będzie, właśnie teraz gorące przypomnienie Wam tej sprawy. Pomyślcie: święta w Stalagu! Piąte święta "wrześniowców." Nic Wam więcej nie powiem, bo nie idzie tu o żadne osiągnięcie propagandowe, ale o zew serca. Więc istotnie resztę sercu pozostawmy.

Osiągnięcie propagandowe? I to w tym liście muszę poruszyć. Prosiłem w imieniu redakcji na tych łamach o nawiązanie z nami kontaktów w sprawie akcji mającej na celu pozostawienie książek o Polsce w tutejszych bibliotekach publicznych, nawet w małych miejscowościach, gdzie stacjonują lub stacjonowały oddziały polskie. Nie było to żadne wezwanie o jakieś nowe: "Dawaj, dawaj!" tylko prośba o porozumienie się z nami.

Ale zastanówmy się, że wyniki naszych prac propagandowych na tutejszym gruncie w porównaniu z osiągnięciami pracującej w straszliwie trudnych warunkach propagandy podziemnej Kraju są zaledwie średnie. Czy wiecie, co niedawno ujawniono? Polski ruch podziemny, o ile idzie o prasę, nie ogranicza się wyłącznie do wydawania tajnych pism w języku polskim; uruchomiono również na wielką skalę wydawnictwo i kolportaż pism w języku niemieckim, których celem jest mówienie niefałszowanej prawdy Niemcom. Wychodzą takie pisma jak: "Der Durbruch" — "Przełom," podający prawdziwe wiadomości o położeniu na frontach i o sytuacji w silnie bombardowanej Rzeszy; "Der Klabautermann" pismo o charakterze satyrycznym z celem właściwego przedstawiania partii nazistowskiej w oczach narodu niemieckiego; pomysłowo wydawany w formie ulotkowej: "Frontbrief an die Heimat" czyli po prostu "Listy z frontu do ojczyzny" i wiele innych.

My mamy tylko siać przyjaźń do Polski w sercach Brytyjczyków a oni w Kraju, z narażeniem życia sieją ziarna prawdy w dusze niemieckich okupantów. Imponujące!

W moim dzisiejszym liście do Czytelników chciałbym także dać wyraz radości z powodu licznych i często niespodziewanych kontaktów, które dzięki temu właśnie odcinkowi "Polski Walczącej" udało mi się nawiązać. Z Kanady odezwał się stary przyjaciel Adam B. /dziękuję Adasiu za miłe słowa!/. Ze Wschodu przyszedł list od bardzo zacnej i kochanej Lwowianki Ireny S. /Gazety i kilka tomików wierszy wysłałem, panno Ireno i życzę rychłego wyzdrowienia/. Z terenu Ziemi Świętej zgłosił się niespodziewanie odnaleziony sposobem "bezblackoutowym" kuzyn mój Julek H. /Hallo, Julku! Ucieszyłem się serdecznie. Pisz do mnie na adres redakcji. Podaj swój adres dokładny/. Muszę się pochwalić: kuzyn mój jest porucznikiem. A jakże! Jeszcze z tamtej wojny światowej. Pamiętam. Malował mi i wycinał moje wojsko papierowe. Przeczuwał na pewno jako stary militarysta, że kryją się we mnie poważne zadatki na tytularnego plutonowego.

Straszliwie się obawiam, żeby przypadkiem przez ten felieton w "Polsce Walczącej" nie odnalazł mnie przypadkiem mój krawiec z ulicy Batorego, któremu nie zdążyłem spłacić kilku ostatnich rat, oraz syn starego Bodeka, któremu dopiero w sierpniu 1939 roku zacząłem spłacać wspaniałą, nową encyklopedię. Drogi Tymonie! Szczerze cieszę się każdym dowodem światowego zasięgu "Polski Walczącej," ale błagam Cię: w razie, gdyby wyżej wymienieni, krawiec i Bodek przypadkowo zgłosili się w redakcji, powiedz, że Budzyński to pseudonim, że prawdziwe nazwisko brzmi: Janta. Niech ja raz też będę taki szczwany . . . lis./

Jedna z moich najwierniejszych Czytelniczek, której zawdzięczam niejeden temat felietonowy, Kazimiera S. przysłała mi kilka egzemplarzy "Tygodnika Polskiego" wychodzącego w Nowym Yorku. Po pobieżnym nawet przeglądnięciu tych kilku luźnych numerów z różnych dat, trzeba szczerze pogratulować Komitetowi Redakcyjnemu. Pismo jest interesujące, żywe, zewnętrznie niezwykle starannie wydane. Co musi zastanowić i budzić zazdrość u tutejszych pisarzy, to wielka swoboda wypowiedzi na różne "aktualne" tematy, otwarte i wyraźne określenie stanowiska w szeregu spraw niezwykle dla Polski żywotnych. Niewątpliwie ten "Uncle Spam," jak go teraz dobrodusznie nazywają Brytyjczycy, ma duże zrozumienie trudnej sytuacji, w jakiej znaleźli się polscy pisarze, którym milczeć nie wolno.

Hallo "Tygodnik Polski!" Na ręce Pana, Drogi Panie Zenonie, przesyłam serdeczne pozdrowienia dla całej Redakcji i życzenia dalszej owocnej pracy. Gdzie te czasy, Panie Zenonie, Zielne, twórcze, radiowe? Gdzie te "awantury lwowskie" z "Kosidowszczyzną"?

Przepraszając Czytelników za tyle ściśle osobistych momentów i sentymentów w tym felietonie /ale to jest przecież list/, podaję na zakończenie gwoli rozweselenia, kilka rzeczywiście udanych fragmentów z bardzo szeroko rozbudowanego działu anegdotycznego tego właśnie "Tygodnika Polskiego."

"W Vichy, jak wszędzie we Francji, trzeba wystawać godzinami w ogonku oczekując, najczęściej bezskutecznie, na żywność. Któregoś dnia pani Dupont zmęczona całodziennym wystawaniem w kolejce, powróciwszy do domu, wybucha płaczem: — "Nie! Już dłużej nie mogę. Nie zniosę więcej tej męczarni. To okropne! Tak żyć nie można!" — woła. Pan Dupont poruszony płaczem żony bierze kapelusz i mówi: — "I ja mam tego dosyć. Niech się dzieje co chce. Pójdę zabić Lavala. To zresztą jest łatwe, bo właśnie za pół godziny będzie wychodził z hotelu du Parc."

Po godzinie pan Dupont wraca. Żona wybiega na jego spotkanie drżącym głosem pyta: — "No i cóż? Zabiłeś go? Na to pan Dupont: — "Nie mogłem. Tam także jest ogonek."

* * *

Pewna staruszka w Holandii została zaaresztowana, za to, że słuchała radia londyńskiego.

—"Dlaczego słuchała pani angielskiej stacji radiowej?" — zapytał sędzia.

"To bardzo proste — odpowiedziała — Hitler przyrzekł, że będzie w Londynie w listopadzie 1940 roku. Od tego czasu stale słuchałam stacji londyńskiej, bo nie chciałabym przepuścić jego przemówienia."

* * *

Kiedy Talleyrand, o którym mówiono, że każdy, jego postępek był z góry obmyślany, umarł, Metternich powiedział: — "Ciekaw jestem dlaczego on to zrobił?"

Żegnam Was, Kochani Czytelnicy aktualnym zawołaniem: Śmiejmy się! Kto wie, czy wojna potrwa jeszcze . . . dwa lata.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

PIERWSZE SAMOLOTY POLSKIE

Szanowny Panie Redaktorze,

Żałuję bardzo, że, nie wiedząc o zamierzonym numerze "Polski Walczącej," poświęconym 25-leciu lotnictwa polskiego, dziś dopiero mogę skreślić to krótkie wspomnienie, które może uzupełni lub sprostuje dane, ogłoszone w poprzednim numerze. Będzie to jednocześnie sprostowanie daty ukazania się na niebie pierwszych polskich samolotów wojskowych. Przykro mi, że ta data jest wcześniejsza od obrony Lwowa, o czym tak pięknie napisał M. J. Gordon w n-rze 44-ym, jubileuszowym. Moment obrony Lwowa jest dla każdego Polaka święty, a ja, z różnych względów, pułkowych i osobistych, mam dlań szczególny sentyment. Ponieważ jednak byłem świadkiem tamtego wzlotu, a ustalanie prawdy uważam za obowiązek każdego człowieka, zaś zasługi żołnierskiej — za obowiązek koleżeński, przeto muszę dać świadectwo prawdzie. Z wiadomości moich wynika, że polskie samoloty wojskowe ukazały się o dziewięć miesięcy wcześniej, bo w ostatnich dniach lutego roku 1918. I brały udział w akcji bojowej.

Wówczas to I Korpus Polski gen. Dowbora-Muśnickiego w Bobrujsku, naciskany przez bolszewików od strony Osipowicz, wykonał w nocy z 18-go na 19-ty lutego atak na tę ważną stację węzłową. Atak, prowadzony przez kpt. Jurkiewicza — niżej podpisany brał w akcji udział na czele patrolu 12-tu ułanów z 1-go szwadronu 1-go pułku ułanów Krechowieckich — został uwieńczony powodzeniem. W marszu przez Jasień i Tatarkę zdobyto Osipowicze, biorąc znaczną zdobycz i wielu jeńców. O akcji tej mówi szerzej Henryk Bagiński w "Wojsku Polskim na Wschodzie" oraz "Dzieje Pierwszego Pułku Ułanów Krechowieckich."

Pośród zdobyczy, na pozostałości lotniska, jakie przetrwało w Osipowiczach po wojsku carskim, znaleziono wiele części samolotów, całkowicie nie zużytkowanych przez nowych władców Rosji. Podczas gdy jeszcze trwała walka o stację kolejową i miasteczko, na lotnisku znalazł się pilot płk. Abakanowicz /później, o ile pamiętam, czas jakiś służył w lotnictwie w Polsce/ i natychmiast zabrał się do zabezpieczania porozrzucanych części, czego byłem naocznym świadkiem. Po pewnym czasie nad Bobrujskiem ukazały się samoloty o naszych znakach.

Nie mogę ręczyć, i może znajdzie się ktoś, kto te rzeczy dokładniej zna ode mnie, czy jeszcze skąd nie przybyły samoloty do I Korpusu lub czy nie znaleziono ich części składowych w bogatych składach bobrujskich. Pozostało mi jednak przeświadczenie, że owa data z 18-go na 19-ty lutego była przełomową w dziejach lotnictwa I Korpusu, a płk. Abakanowicz tegoż lotnictwa wydatnym współtwórcą.

Walki I Korpusu były już na ukończeniu. Gdy jednak w trzy miesiące później nastąpił tragiczny moment przymusowej demobilizacji, wobec zaciskanego z dwóch stron pierścienia niby to wrogów, ale od czasu pokoju brzeskiego faktycznych sojuszników — zawarczały na lotnisku bobrujskim motory. Samoloty odleciały ku wschodowi i nie zostały oddane Niemcom. Znaliśmy lotników, którzy wówczas odlecieli, a wiem, że był między nimi i płk. Abakanowicz. Dalsze koleje ich losów w owym ciężkim dla żołnierskiego serca momencie nie są mi znane. Sądzę, że aparaty zniszczyli.

Antoni Bogusławski

OPIEKA WYCHOWAWCZA NAD JUNAKAMI

Proszę Pana Redaktora o zamieszczenie w najbliższym numerze "Polski Walczącej" następującego sprostowania:

W artykule p. Witolda Leitgebera p.t. "Na tułaczych szlakach: Junacy," zamieszczonym w nr. 43 "Polski Walczącej" z dn. 30.X.1943 r., znalazł się ustęp przedstawiający zasady, na jakich oparte jest nauczanie i wychowanie w szkołach junackich w Palestynie i Egipcie, z którego wynikało by, że szkoły te są prowadzone całkowicie przez wojsko, a jedynym fachowym organem pedagogicznym i dydaktycznym jest wojskowa Dyrekcja Nauk podległa Dowódcy Szkół Junaków.

Wobec tego Ministerstwo W.R. i O.P. stwierdza, że w myśl porozumienia między Ministrami Obrony Narodowej oraz Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, strona wychowawczo-naukowa /w zakresie wykształcenia ogólnego/ należy do kompetencji organów Ministerstwa W.R. i O.P., a mianowicie Delegatury tegoż Ministerstwa w Jerozolimie, która roztacza fachową opiekę nad szkołami junackimi w Palestynie i Egipcie.

Sekretarz Generalny Min. W.R. i O.P.

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich składa serdeczne podziękowanie tym wszystkim, którzy za pośrednictwem "Polski Walczącej" przesłali dary pieniężne na "Paczki od serca" dla jeńców polskich.

Z darów ogłoszonych w nr. 39, 40, 41 i 42 "Polski Walczącej" w kwocie £186.4.4½ wysłano 279 paczek; w tym 146 paczek papierosowych à 500 sztuk /9s. 3d./, 106 paczek żywnościowych /à 8s. 6d./ oraz 27 paczek odzieżowych /à £2.10.0/ /250 paczek dla szeregowych i 29 dla oficerów/.

Listy są złożone w Redakcji "Polski Walczącej" i zostaną udzielone do wglądu na każde żądanie.

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stow. Społ. Służby Kobiet Polskich

O ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA SŁOWO

Szanowny Panie Redaktorze,

Gdy przed trzema miesiącami dobijałem do brzegów Wielkiej Brytanii, ze szczerym zainteresowaniem i radością oczekiwałem chwili zetknięcia się z emigracją polską, która przez kilkuletni okres winna była nasiąknąć atmosferą zachodniej kultury. Z zadowoleniem myślałem o tym, że prasa polska różnych kierunków, stanie się moją codzienną lekturą i przewodnikiem po świecie przeobrażeń, jakim uległa polska myśl polityczna i społeczna pod wpływem wzorów anglosaskich. Do dochodzących aż do pustyni palestyńskiej i irackiej odgłosów emigracyjnych kłótni nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi, sądząc, że wyolbrzymia je dystans tysięcy kilometrów.

Rozczarowanie, jakiego doznałem, było naprawdę bolesne. Ledwie zdążyłem dotknąć nogą brytyjskiej ziemi ogarnęła mnie już dżungla polskiej plotki. Plotki nie szczędzącej nikogo: ani wojska, ani kierowniczych sfer politycznych, ani naszych aliantów.

Po stokroć rację miał p. Budzyński, gdy napiętnował w "Polsce Walczącej" niesłychane wyczyny łowców sensacji w stosunku do I-szej Dywizji Pancernej, które przekroczyły już dawno brzegi polskiego światka emigracyjnego i szeroką falą rozlały się między brytyjskie społeczeństwo, powtarzające w najlepszej wierze brednie o niezdanym egzaminie, o odmowie wyruszenia na front i t.p. i t.p. Niesłusznie jednak p. Budzyński ogranicza się do wystąpienia w obronie pokrzywdzonej dywizji. To tylko wąski odcinek zagadnienia, któremu na imię: polska, czy raczej emigracyjna lekkomyślność.

W czasie swego krótkiego pobytu na Wyspach miałem już możność wysłuchania w najrozmaitszych wersjach plotek: o wojsku, które odmówiło posłuszeństwa; o generałach, którzy zwariowali, o ministrach, którzy popełniali pospolite przestępstwa, o dygnitarzach będących na czyimś żołdzie, o aliantach, którzy zawiedli i t.p. i t.p. Tak się przedstawia pokłosie pantoflowej poczty, która działając z iście niemiecką sprawnością, roznosi w rekordowym tempie plotkę stworzoną przez znudzonych bywalców londyńskich kawiarń po polskich obozach wojskowych i skupiskach emigracji.

W sukurs szeptanej propagandzie śpieszy prasa, unikająca wprawdzie, z obawy przed odpowiedzialnością sądową, wymieniania nazwisk i konkretnych faktów, ale niemniej lekkomyślna w szafowaniu zarzutami i potwornymi nieraz oskarżeniami. Trudno inaczej jak plotką nazwać powtarzające się stale w naszej prasie zarzuty pod adresem, nie wymienianych wprawdzie z nazwiska, ale znanych każdemu dygnitarzy, zaopatrzone uwagą: "jeśli w tych pogłoskach okaże się choćby odrobina prawdy," albo "wedle krążących pogłosek" i t.p. Nie mówiąc już o niedwuznacznych aluzjach dających do zrozumienia, że pewne osoby pozostają na usługach wrogiej propagandy.

Przecież na litość Boską, ludzie mający za sobą długoletnią pracę w dziennikarstwie powinni wiedzieć o tym, że nim się da do druku słowa godzące w honor człowieka trzeba je najprzód sprawdzić, trzeba uzyskać konkretne dowody, że zamieszczone w formie warunkowej, sklasyfikowane być muszą jako oszczerstwo.

Wydaje mi się, że tu właśnie dochodzimy do sedna zagadnienia, że chcąc walczyć z rozwielmożnionym plotkarstwem, przede wszystkim zacząć musimy od wyplenienia z naszej prasy nastroju skłóconych i rozplotkowanych kumoszek. Jak długo brak jest poczucia odpowiedzialności za słowo drukowane, trudno jest oczekiwać poczucia odpowiedzialności za słowo "dyskretnie" szeptane na ucho. Gdy ludzie o znanych nazwiskach podpisują zasłyszane w knajpie, czy cukierni plotki, nie dziwmy się, że "szarzy ludzie" nadstawiają ucha na pantoflowe rewelacje, które wydają im się nieocenzurowanym dopełnieniem artykułu "znakomitego" publicysty.

W prasie naszej modny jest ostatnio zarzut, kierowany pod adresem żołnierzy polskich, że nie nauczyli się niczego od angielskich gospodarzy. Jeszcze śmiesznie brzmi on na łamach gazet, które niezachwianie kultywują najgorsze wzory polemiki przedwrześniowej. Jeśli ktoś, to właśnie panowie publicyści zmarnowali cenne cztery lata. Nie trzeba być nawet "inteligentnym" czytelnikiem, żeby dostrzec przepaść, jaka dzieli prasę angielską od większości polskich pism emigracyjnych.

Panowie dziennikarze, celujecie w udzielaniu moralizatorskich rad i pouczeń żołnierzom. Niechże raz zmienią się role: wysłuchajcie wy paru rad jakich udzieli wam żołnierz:

1/ Czytajcie uważnie i starajcie się przejąć duchem angielskiej prasy. Tylko za wzór godny naśladowania nie obierajcie sobie osławionego "Daily Workera."

2/ Poświęcajcie mniej czasu wzajemnemu oczernianiu się, a więcej przyjrzeniu się pracy polskich oddziałów wojskowych i zrozumieniu przeobrażeń, jakie przeszły one pod wpływem wzorów anglosaskich, może wtedy znikną wasze obawy o to, że żołnierz polski zmarnował czas swego pobytu na wyspach.

3/ Mniej martwcie się o to, jak Kraj przyjmie żołnierza polskiego z obczyzny, a za to częściej róbcie rachunek dorobku waszego z okresu emigracji. Mam nadzieję, że gdy przeprowadzicie taki rachunek własnego sumienia — na łamach prasy naszej, miejsce gorszących kłótni i lekkomyślnych napaści zajmą ideologiczne rozważania i rzeczowa krytyka.

Karol Lewkowicz

Dla Polaków w Rosji: £10,098

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £4.8.0 na cele pomocy Polakom w Rosji.

Powyższa kwota stanowi zapłatę za kopanie ziemniaków przez szeregowych Eskadry w godzinach poza służbowych.

Przesyłam pozdrowienia dla Pana Redaktora oraz życzenia pomyślności dla jego wydawnictwa.

Z poważaniem

ppor. St.K.

* * *

Posyłam 3 sh. na pomoc Polakom w Rosji.

Marynarz

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę jednego funta na rzecz pomocy Polakom w Rosji.

Z poważaniem

Stanisław W.S.

DLA DZIECI POLSKICH W INDIACH

Posyłam sh.10 na dzieci polskie w Indiach. Zebrałam pieniądze bawiąc się w sklepik.

Ewa Drągowska
8 lat

* * *

ŁAŃCUCH OFIAR

Łańcuch na pomoc Polakom w Rosji sh.2.

Redakcja "Polski Walczącej" w Londynie,

Przesyłam w załączeniu M.O. na kwotę £5. sh.12 d.5 /słownie funtów pięć, szylingów dwanaście, pensów pięć/. Kwota powyższa powstała ze składek podoficerów i kanonierów . . . Dywizjonu . . . Pułku Artylerii Motorowej za miesiąc październik 1943. Proszę Pana Redaktora o przekazanie powyższej kwoty na cele "Fundusz Pomocy Polakom w Rosji."

Z wyrazami szacunku

mjr. J.W.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £11.15.5 /słownie jedenaście funtów, piętnaście szylingów i pięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10.098.14.9 /słownie dziesięć tysięcy dziewięćdziesiąt osiem funtów, czternaście szylingów dziewięć pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Ukazał się Nr. 37-my "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich" wydawnictwa Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii, poświęcony książce polskiej.

Szereg artykułów i fotografii ilustruje dzieje książki, przedstawia zagadnienia czytelnictwa, bibliotek, estetyki książki i t.d.

Dla jeńców: "paczki od serca"

Dear Sir or Madam,

At a W.V.S. meeting held here on October 19th, at which P/O Rafal Klinga was the speaker, we took a collection for the "Parcels from the Heart" Fund for Polish Prisoners of War. I now have much pleasure in enclosing a cheque for £3.10.0. At the same time i should like to say how very much we enjoyed the lecture. Perhaps, in the future, we shall be able to arrange another one. May I rely on you to let P/O Klinga know the result of the collection as I have not got his address? Wishing you every success in your cause, with Peace in the near future.

Yours sincerely,

/Miss/ S. Alexander,
W.V.S. Post Leader

* * *

Przesyłam British Money Order na sumę £31.8.3, zebraną w miesiącu październiku przez uczniów i personel stały Dyonu Wyszkolenia przedwstępnego /A.C.T.G./ w H. i F. na pomoc Polakom, jeńcom w obozach niemieckich.

Jednocześnie nadmieniam, że ogółem na tel cel, począwszy od lipca b.r. uczniowie i personel stały Dyonu złożyli, łącznie z wyżej wymienioną kwotą £101.9.10.

Adiutant Dyonu Wyszkolenia Przedwstępnego
W.H., Porucznik Pilot

* * *

Dla uczczenia pamięci ś.p. pułk. pil. Stanisława Skarżyńskiego sumę £2 /dwa/ dla lotników w niewoli niemieckiej przesyłają.

żona z synkiem

W załączeniu przesyłamy czek na kwotę £3.10.6. Kwotę tę ofiarujemy na pomoc jeńcom naszym w Niemczech zamiast podarunku imieninowego dla naszego dowódcy.

Za komitet

Dziewulski

* * *

Zamiast kwiatów na groby naszych nieznanych towarzyszy broni z września, na pomoc jeńcom wrześniowym przebywającym w niewoli niemieckiej, przesyła £28 sh.10 d.6 /dwadzieścia ośm funtów, dziesięć szylingów i sześć pensów/.

. . . Polski Dywizjon Bombowy, oraz polski personel R.A.F. Station H.

* * *

Przesyłam w załączeniu "funciaka" na paczkę od serca.

por. K. Pw.

* * *

Znaleziony £1 /jeden funt/ przesyłam na paczki dla jeńców polskich.

por. W.M. P/3

* * *

Dla jeńców "na paczki od serca" — przesyłam 10 szyl.

"Walmer"

* * *

Na paczki dla jeńców bezimiennie pięć szylingów jako podatek za używanie mocnych słów.

* * *

Z tytułu ofiar złożonych na Msze Św. oraz inne — 50 szyl. /pięćdziesiąt szyl./ "na paczki od serca."

Ks. Warakomski

* * *

Przesyłam £1 dla jeńców w Niemczech.

por. R.

Nowomianowani podporucznicy ze Szkoły Podch. Piech. i Kaw. Zmot. wpłacają za moim pośrednictwem £6.8.8 na paczki gwiazdkowe dla polskich jeńców w Niemczech — wzywając równocześnie wszystkich kolegów do podobnego opodatkowania się.

Oficer oświatowy S.P.P.

* * *

Załączam Postal Order na sh.5 — z przeznaczeniem na polskich jeńców w Niemczech jako podziękowanie św. Antoniemu za spełnienie prośby.

A.T.

* * *

Komplet Szkoły Powszechnej w Blackpoolu przekazuje sh.8 — na rzecz pomocy jeńcom w Niemczech.

K. Hałasowski /nauczyciel/

* * *

Sumę szylingów sześć, jako resztę z pieniędzy wachmistrza Ludwika R., które otrzymałem na pomoc jego rodzinie — przekazuję na jeńców.

W.L.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £82.11.11 /słownie osiemdziesiąt dwa funty, jedenaście szylingów i jedenaście pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na pomoc Jeńcom za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1.034.6.9½ /słownie tysiąc trzydzieści cztery funty, sześć szylingów, dziewięć i pół pensa/ i 50 milrejsów.

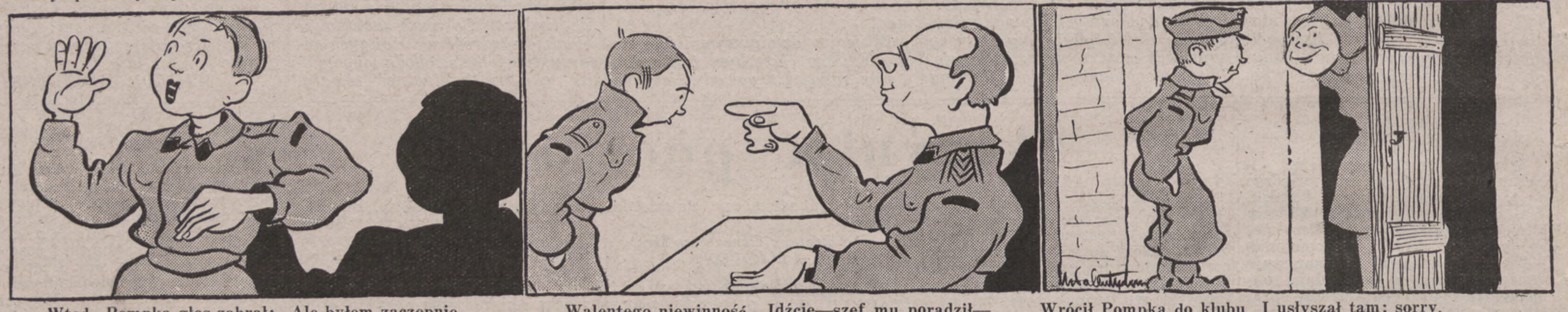
Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Choć w zasadzie nie było
Zbyt poważnych powodów—
Żandarmeria przybyła
Czterech różnych narodów.
Przez noc całą protokół
Dwóch pisało sierżantów,
Aby stwierdzić, że Pompka
Prowokuje Aliantów.
Mamy ptaszka—szef orzekł—
Tu się dostał nareszcie!
Jest przestępstwo! Paragraf
Sto łamane przez dwieście!



Wtedy Pompka głos zabrał:
Ja—oświadczył—nie święty,
Ale byłem zaczepnie
Przez Alianta kopnięty!
Walentego niewinność
Zatwierdzono o świcie.
Idźcie—szef mu poradził—
To się jeszcze prześpicie . . .
Wrócił Pompka do klubu
Niewyspany, ziębnięty
I usłyszał tam: sorry,
W dzień nasz klub jest zamknięty . . .

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

Kto z Polaków przybyłych z Rosji może udzielić informacji o WANDZIE JURKIEWICZ, lat 36, zamieszkałej przed wojną przy ul. Nad Jarem nr. 9 we Lwowie, a wywiezionej do Rosji w r. 1940. Wedle ostatnich wiadomości przebywała ona na wiosnę 1941 w więzieniu w Kijowie, a później miała rzekomo znajdować się we więzieniu koło Archangielska. Wiadomości proszę kierować do redakcji "Polski Walczącej" dla L.B.

* * *

Poszukuje się krewnych względnie znajomych następujących jeńców w niewoli niemieckiej:

1. Podch. LEON JURGA, 2. ppor. STEFAN WOLSKI, 3. ppor. CEZARY ZBARASZEWSKI, 4. ppor. F. HALLADA, 5. ppor. ARNOLD GRALKA, 6. podch. STAN. NOSZCZYŃSKI, 7. podch. JÓZEF PIASECKI, 8. podch. WITOLD ŁOBACZ.

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Koło Ślązaków Cieszyńskich, 91, Queen's Court, Queen's Way, London, W.2, które posiada adresy wyżej wymienionych.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.